

na dło odrze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXI NR 25 [656]

13 — 26 XII 1987 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUMIEL

CZYTELNIA

portret

reformowany

SCENY

miłosne

WIDE

KLUB

VIRTU

PIENIĄDZE A KULTURA

ROZMOWA Z BARBARĄ FIJALKOWSKĄ — DYREKTOR WYDZIAŁU KULTURY I SZTUKI URZĘDU WOJEWÓDZKIEGO W ZIELONEJ GÓRZE.

— Na początku lat osiemdziesiątych nastąpiło rozerwanie więzi między gospodarką, kulturą, sportem, oświatą. Kulturę nadal traktuje się jako dodatk bez którego można żyć. Zapomina się o tym, że na ona ogromny wpływ na stan gospodarki.

— Wiele zakładów, pracy w naszym regionie uznano, że ich jedynym zadaniem jest produkcja. Uległo likwidacji kilka zakładowych domów kultury, kin, świetlic i bibliotek. Skutek tego jest taki, że zmniejszyło się uczestnictwo ludzi pracy w życiu kulturalnym. Nie-mało osób kulturę postrzega jako zabawę i rozrywkę. A kultura to przede wszystkim styl życia narodu. Każdy za stój czy z wycofanie na lepsze czasy — oznacza cofanie się kultury. Odbija się to na naszym życiu obecnym i decyduje o tym, kim jako społeczeństwo będziemy w przyszłości. Chyba nie trzeba nikogo przekonywać, że produkcja materialna jest uzależniona od poziomu kultury ludzi pracy.

— W sytuacji gdy od lat brakuje pieniędzy niemal na wszystko, wydatki państwa na kulturę nie mają wielkiej siły przebicia. Życie kulturalne jest uzależnione od stanu, w jakim znalazł się kraj i musi się rządzić takimi samymi prawami.

— Z kryzysu lat osiemdziesiątych nasza kultura wyszła obronną ręką, mimo wielu braków i niedoskonałości. A to między innymi dlatego, że w 1982 roku Sejm podjął dwie bardzo ważne decyzje. Powołano Narodową Radę Kultury jako organ prezesa Rady Ministrów i utworzono Fundusz Rozwoju Kultury. Do tego czasu kultura była finansowana z budżetu państwa w ilościach daleko niewystarczających. Utworzenie Funduszu całkowicie zmieniło system finansowania, zapewniając kulturze stałe su my. Fundusz tworzony jest na szczeblu centralnym z odpisów od podatków od wynagrodzeń w gospodarce społecznej. W momencie jego powstania odpis wynosił 13,6 procent, w przyszłym roku wzrośnie, zgodnie z decyzją Sejmu, do 15 procent. Ustawa o FRK głosi, że jest to jedno z źródeł utrzymania kultury. Ponadto kulturę należy finansować z pieniędzy władz wojewódzkich i lokalnych (z funduszy gminnych, nadwyżek budżetowych, wpływów z imprez celowych, dochodów własnych jednostek

kultury) oraz dobrowolnych wpłat osób fizycznych i prawnych, a także dotacji zakładów pracy, organizacji itp. Te ostatnie źródła pozyskiwania pieniędzy są, na razie, teoretyczne. Ponieważ jestem optymistką, wierzę, że w drugim etapie reformy gospodarczej znajdą się sprzymierzeńcy kultury, choćby związki zawodowe. Pierwszy podział zgromadzeń w Centralnym Funduszu Rozwoju Kultury kwot odbywa się w Warszawie, drugi — w każdym mieście wojewódzkim, trzeci — w mieście lub gminie.

— O FRK często mówi się, że jest on funduszem wegetacji kultury. Nie roz-woju lecz jej przetrwania. Czy Fundusz jest workiem bez dna i zaspokaja wszystkie, w tym realne i ambicio-nalne potrzeby kultury?

— Niestety, jest on ograniczony i ma konkretny wymiar. W pierwszych latach jego funkcjonowania kultura miała pewność, że kwota, która wynika z ustawy jest gwarancją, będzie jej przydzielona w całości. Ponieważ od początku lat osiemdziesiątych rosną place w gospodarce społecznej, automatycznie wzrastają zasoby funduszu. Zaleta obecnego systemu finansowania kultury jest i to, że środki FRK nie wykorzystane w danym roku nie przepadają i nie muszą być zwracane do skarbu państwa. Poprzednio wiele jednostek kultury otrzymało dodatkowe środki pod koniec każdego roku i żeby je wykorzystać, kupowało nie zawsze przedmioty niezbędne. Obecnie pieniądze można składać na wcześniej określony wydatek, na przykład na zakup komputerów, sprzętu video, przeprowadzenie modernizacji czy gruntownego remontu placówki.

— Istnienie FRK pozwala na utrzymanie tego wszystkiego, co się składa na obraz kultury zielonogórskiej. Dzięki za sobom Funduszu istnieją i pracują nie tylko placówki państwowe, lecz i zakładowe, stowarzyszenia społeczno-kulturalne.

— W Zielonogórskim brakuje nam pieniędzy na wiele wydatków, ale przede wszystkim na remonty jednostek kultury. Większość domów kultury, bibliotek i ich filii, świetlic i sal wiejskich znajduje się w starej zabudowie, wielokrotnie modernizowanej i adaptowanej. Mamy ogromną ilość zabytkowych pałaców, dworów, kościołów, budynków mieszkalnych, często jedynych

w swoim charakterze architektonicznym w Polsce. Z jednej strony ograniczona ilość pieniędzy, z drugiej coraz wyższe koszty remontów, brak materiałów budowlanych i specjalistów — nie pozwala na wyremontowanie wszystkich obiektów w krótkim czasie. Na przykład niedawno skończyliśmy odbudowę pałacu Łobkiewiczów w Żaganiu z przeznaczeniem na ośrodek kultury, nadal trwa ją prace w ogromnym pałacu Promienników w Żarach. Wiele osób uważa, że remonty tego rodzaju obiektów jest bez sensu, proponując budowę placówek kultury od fundamentów. To co, pozwolić, by pamiętki przeszłości uległy zniszczeniu? Co powiedzą o nas następne pokolenia? Gdybyśmy nie zdecydowali się odbudować ratusza w Gubinie, pochodzący z XIV wieku, miasto nie miało by ani porządnego domu kultury, ani w miarę nowoczesnej biblioteki. To samo tyczy się dworu w Świdnicy, pałacyku w Drzonowie, zamku w Koźuchowie, pałacyku w Sulechowie. Często pracownicy Ministerstwa pytają mnie, kiedy w Zielonogórskim skończymy remonty obiektów kultury. Odpowiadam: nigdy. Jest to proces ciągły, jak ciągle i wieczne jest życie ludzkie.

W tym roku pieniędzy z FRK praktycznie wystarczyło na utrzymanie już istniejących obiektów, tzn. na ich ogrza-nie, oświetlenie, naprawy bieżące i konserwację sprzętu oraz na wynagrodzenie pracowników. Proszę nie sądzić, że działamy dowolnie: w resorcie kultury nadal obowiązują limity — osobowego i bezosobowego funduszu plac, etatów, honorariów itp. Brakuje nam pieniędzy na działalność merytoryczną, placówek, a więc na zakup sprzętu, książek, dzieł sztuki, organizację imprez. Rozwój nowoczesnych technik audiowizualnych zmusza nas do kupowania takiego sprzętu, jakiego jeszcze nie ma w wielu domach prywatnych. Podróżowały książki, czasopisma, obrazy, w związku z czym społeczeństwo ograniczyło wydatki własne na te dobra. Czy możemy pozwolić, by ludzie przestali czytać, odwiedzać do my kultury — dlatego, że są one gorzej wyposażone niż mieszkania prywatne? Kultura decyduje o stopniu cywilizacji narodu, a my przecież żyjemy w centrum Europy.

— Skoro zasoby Funduszu są ograniczone, czy w każdej gminie musi istnieć dom kultury? Wydaje mi się bezsensowne utrzymywanie administracji i obiektów tylko po to, by wykazać się ich bogactwem.

— Też uważam, że nie w każdej gminie musi istnieć dom kultury, niekiedy wystarczy świetlica. Obecnie mamy w

Wieniec dożynkowy

Wiesław Nodzyński

Dom Heleny i Tadeusza Krupów w Brozku jest jakby mniej okazały od innych, które stoją tu wzdłuż drogi z Zasiak. Za to budynki gospodarcze są solidne, schludne, znaczącą rolę gospodarza i gospodyni. Dalej ciągną się pola uprawne i łąki sięgające granicznej rzeki Nysy. Stamtąd widać już drugi brzeg, w lecie pysznące się całą gamą kolorów rosarium, będące ozdobą i chlubą miejskiego parku w Forst. Słychać odgłosy tętniącego życiem miasta, które w 1945 r. było i po tej stronie, w Zasiakach. Wojna i powojenna akcja rozbiorowa nie pozostawiły po nim wiele śladów, z wyjątkiem zdewastowanych w znacznym stopniu i niewykorzystanych do dzisiaj obiektów po byłych zakładach I. G. Farben-Industrie. Stoją za to domy w Brozku i w wielu roz-płenilo się życie. Dorasta już trzecie pokolenie tych, którzy w pierwszych latach po wojnie zdecydowali się tu osiedlić. Życie nie było tu łatwe. Musieli to być ludzie twardzi.

Uświadomiłem sobie to, kiedy po raz pierwszy miałem okazję poznać i odwiedzić Krupów. Było to wtedy, kiedy pani Helena Krupowa, znana nie tylko w najbliższej okolicy gospodyni, działaczka społeczna i partyjna, członek egzekutywy Komitetu Gminnego PZPR w Brodach, została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski na inaugurację 1987 r. sesji Gminnej Rady Narodowej. Uroczystość ta, wszak nie często wiejska kobieta dostępuje takiego zaszczytu, zgromadziła w domu Krupów w Brozku nie tylko liczną rodzinę i nie tylko oficjalnych gości. Dom, choć stary, wyczyszczony był do połysku, zresztą od wewnątrz w nieczym nie odbiegający od standardów miejskich. Ojciec i matka siedzieli na honorowych miejscach, wspólnie dzieląc satysfakcję z zaszczytu, jaki spotkał Helenę. Zresztą prawdę mówiąc, nie byłoby on możliwy bez Tadeusza. I jak bywa przy takich okazjach, po których towarzysze na ich cześć, po su tych zakąskach, o które zadbały córka i synowa, zaczęła się opowieść o życiu małżeństwa Krupów, którą słyszeć by można w niejednym polskim domu, jednak tu, nad samą granicą brzmiała ona szczególnie.

Pani Helena, o dwa lata młodsza od Tadeusza, pochodzi z Krośna nad Wisłokiem. Wcześniej odumarta jej matka, dzieciństwo nie wspomina mile, podobnie jak pierwszej w życiu roboty, kie-

dy już podrosła, w krośnieńskim hucie szkła. Za to dobrze pamięta działalność w ZMW „Wici”, do której wciągnął ją wujek, znany przed wojną działacz ludowy w Jasielskiem.

— Do końca życia pamiętać będę wiersz, jaki w 1934 r. mówiłam z trybuny na chłopskim wiecu w Jasie — mówi.

Ocknij się chłopie polski w swej opieszałości
wówczas cię twa siła nigdy nie za-wiedzie.
Bo ty jesteś potęgą narodu polskiego.
Łączcie się wszyscy chłopie pod sztandar zielony.
Tylko wtedy nie zduszą was sanacyjne szpony.
Niechaj te sztandary co z trybun łopocą

Prowadzą nas w bój zwycięski, napelnia nas mocą,
Wiersz ten, niezbyt doskonały w formie, być może też niezbyt dokładnie zapamiętany, doskonale oddaje klimat tamtych czasów wypełnionych masowym protestem i walką mas chłopskich, szczególnie w Małopolsce. Los już w czasie wojny zetknął panią Helenę ze swym przyszłym mężem.

Tadeusz Krupa urodził się w Marchocicach, gmina Racławice Kościuszkowskie w 1921 r. Mimo chłubnej tradycji historycznej i tu panowała bieda. Ojciec wizna była skromna, tylko 2 morgi ziemi, krowa, nie licząc drobnego inwentarza, a w domu sześciu rodzeństwa. Trzeba było dorabiać we dworze, bo COP dopiero zaczął się budować, na Śląsku szalało bezrobocie, a o Gdyni niewiele się słyszało. Dwór płacił za dniówkę od świtu do wieczora 80 gr., a w żniwa złotówkę. Była to robota sezonowa, bez niej trzeba się było liczyć z każdym kęsem. Tuż przed samą wojną jakby zaczęło się poprawiać, bo zaczęły się roboty publiczne, głównie przy drogach, ale wojna właśnie wybuchła. Nie zdążył nawet powojować, bo powołanie przyszło za późno. Przełoczyła się przez ich okolicę szybko.

Już w lutym 1940 r. znalazł się w jednym z pierwszych transportów robotników przymusowych do III Rzeszy. Szczęśliwie — jak dziś mówi, trafił w Sudety. Bo mimo nieludzkiej, otepiającej roboty od 4 rano do 10 wieczorem

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 5

UKŁAD NADZIEI

Kończący się rok przyniósł ludzkości wielki prezent, o którym jeszcze niedawno trudno było nawet marzyć. Układ o całkowitej likwidacji rakiet jądrowych średniego i krótszego zasięgu stał się faktem — powiedział Edward Szeward na dwa tygodnie przed waszyngtońskim szczytem. I świat po raz kolejny od zakończenia II wojny światowej głębiej odetchnął. Jądrowa zagłada została na spór odległość oddała, chociaż na drodze rozbrojenia jest to dopiero pierwszy, ale bardzo długi krok. Te ostatnie stwierdzenia mogą wydać się pompacyjne, ale pompacyjność nieustannie towarzyszy wszelkim zwycięstwom. A układ ten to wielkie zwycięstwo wszystkich, bo pokonanych nie ma. Jego „historyczne znaczenie” polega na tym, że dotychczasowe układy co najwyżej zobowiązywały oba supermocarstwa do ograniczenia zbrojeń. Ten, obecny zakłada fizyczne zniszczenie części jądrowego arsenału.

Wiktor Karpow, kierownik wydziału rozbrojeniowego w radzieckim MSZ na niedawnej konferencji prasowej w Moskwie opowiedział, jak w ZSRR niszczą nie będą rakietami objęte układem. Głównie zostaną zdemontowane a zawarty w nich materiał jądrowy może być przeznaczony dla celów pokojowych. Mechanizm zniszczenia ulegną wszystkim inne części głowic, rakiety i urządzenia startowe. Okazuje się, że nie tylko misje przekazywane na lemieszce. Pojazdy do przewożenia rakiet bez trudu można przebudować na transportery do rur dla rurociągów naftowych i gazowych. A wyrzutnie rakietowe zostaną po prostu przecięte na pół.

Niedawno także nasza telewizja pokała pierwsze próby niszczenia rakiet. Dotychczas oglądaliśmy ich wybuchy po ligonowe, które służyły doskonaleniu. Teraz, bo nikt chyba nie wątpi, że będzie inaczej, coraz częściej będziemy oglądać ich unicestwienie. Demontaż i niszczenie rakiet zaczęło się w trzydziestym dniu po wejściu w życie układu po jego ratyfikacji przez Senat USA i Radę Najwyższą ZSRR. Doradca kanclerza Kohla do spraw polityki zagranicznej Horst Teltschik powiedział w wywiadzie dla „Bild-Zeitung” że „teraz wszystko zależy od ratyfikacji układu przez Kongres amerykański”, a jego nie ratyfikowanie „miałoby katastrofalny wpływ na stosunki Wschód-Zachód”. Na całym świecie rozlegają się głosy, że szybkie ratyfikowanie tego układu jest dziś honorem Stanów Zjednoczonych. Prezydent Reagan i sekretarz Shultz nie wątpią, że pozyskają 67 senatorów, bo tyle głosów wymaga konstytucja amerykańska, aby układ wszedł w życie. Według ostatnich sondaży 50 senatorów będzie głosować „za”, pozostali wahają się albo też wyrażają sprzeciw. „Modlimy się o ratyfikację układu” — powiedział po zakończeniu rozmów amerykańsko-radzieckich w Genewie Giulio Andreotti.

Układ, jak zauważyły niektóre agencje, został spisany na 100 stronach ma szynopisu. I pod tym względem jest on najdłuższy spośród wszystkich układów zawartych dotąd pomiędzy ZSRR i USA. Po jego ratyfikacji niszczą się po stronie radzieckiej około 1500 głowic, zaś po stronie amerykańskiej około 350. Układ określa bardzo szczegółowo, i stąd ta niespotykana dotąd jego objętość, sposób wzajemnej kontroli. Przewiduje się m.in. że inspektorzy obu stron będą mogli nie zapowiadanie kontroliować niszczenia broni u swoich partnerów.

Droga do tego układu była długa i zawiła. Prowadziła od Genewy, poprzez Reykjavik, gdzie jak pamiętamy słowa Gorbaczowa — „wszystko było w zasięgu ręki, Moskwę, znowu do Genewy. Podpisy pod układem złożone zostaną w Waszyngtonie. Myślę, że znaczenie tego układu można porównać do ustaleń w Teheranie, kiedy to ZSRR i USA w zupełnie innej niż dzisiejsza sytuacji, ale bardzo trudnej, także porozumiały się w sprawach dla ówczesnego świata najważniejszych. Jajta i Poczdam nastąpiły później.

Układ o zniszczeniu rakiet jądrowych średniego i krótszego zasięgu to najwięcej z możliwych prezentów, jaki przywódcy obu supermocarstw mogli złożyć ludzkości pod noworoczną choinkę. Spełnienie go to unicestwienie 4-6 proc. jądrowego arsenału ZSRR i USA. Bardzo dużo, a także jeszcze mało. Bronią, którą ra pozostanie, można „tuzin razy” jak mówią Chinczyrzy zniszczyć kulę ziemską, jeden, wspólny dom wszystkich ludzi. I o tym nikt rozsądny nie zapomina. Świat żywi nadzieję, że za tym „historycznym układem” zostaną podpisane następne, przede wszystkim o zniszczeniu przynajmniej w połowie broni strategicznej. Oby nastąpiło to jak najszybciej.

JACEK WOCH

BILANS DODATNI

Zagraniczni dziennikarze uczestniczący w zwołanej przez Rzecznika Rządu red. Jerzego Urbana, nazajutrz po referendum, konferencji prasowej nie kryli swego zdetonowania, byli nawet tacy, którym Rzecznik musiał zwracać uwagę na nielogiczność ich pytań.

Na co liczyli, czego oczekiwali niektórzy z nich? Na bojkot referendum, który sugerowała opozycja, czy też na odmienne jego wyniki? Jeśli tak, to spotkał ich zawód. A pytania, na które musieli odpowiedzieć Polacy 29 listopada nie były łatwe i trzeba było dokonać świadomego wyboru. Dotyczyły one bowiem nadrzędnych interesów państwa i narodu, konieczności niezbędnych, wręcz przełomowych zmian w ukształtowanym przez lata systemie zarządzania gospodarką narodową, jak też w organizacji życia społeczno-politycznego w kraju. Nikt też nie wątpił, że zmiany te odniosą się do sfery życia prywatnego,

go, osobistych, materialnych interesów każdego z nas. Była świadomość ryzyka. A jednak, jak to już nieraz bywało, licząca się, najbardziej aktywna część polskiego społeczeństwa dała wyraz swej mądrości życiowej.

Bo jak inaczej rozumieć wyniki listopadowego referendum? Wprawdzie w głosowaniu nie osiągnięto zdecydowanej, prawnej większości opowiadającej się za koniecznością radykalnych zmian, to jednak ponad 11 mln obywateli, którzy udzieliłi twierdzącej odpowiedzi na pytanie pierwsze i ponad 12 mln na pytanie drugie w referendum — stanowili w tej sprawie czynnik politycznie rozstrzygający, będący jednoznaczna dyrektywą dla najwyższych instancji politycznych i państwowych, przede wszystkim dla Sejmu PRL.

Listopadowe referendum było zaledwie drugim odwołaniem się do opinii

całego narodu w naszych powojennych dziejach. Nie mieliśmy w tej dziedzinie dobrej tradycji ani specjalnych doświadczeń. Tym bardziej cenić sobie trzeba jego wyniki, głównie zaś fakt, że ponad dwie trzecie uprawnionych do głosowania obywateli zdecydowało się na wzięcie w nim udziału.

Nie można jednak nie liczyć się z opinią także tych, którzy głosowali na „nie”, lub tych, którzy w ogóle nie wzięli udziału w głosowaniu. Nie wszyscy spośród nich są przeciwnikami reform, lub wręcz — ustroju. Różnicowanie opinii zmanifestowane w referendum wynika z różnych powodów, często dostrzeganych gołym okiem. Nie wszyscy też kochają socjalistyczną demokrację, choć winna ona wynikać z istoty socjalizmu. Są i tacy, którym „dobrze jest tak jak jest”. Przecież w latach po stanie wojennym to i owo zmieniało się powoli na lepsze.

Ale świat nie stoi w miejscu. Zatrzymanie się w miejscu byłoby groźne dla przyszłości, zaś na powolne zmiany brak czasu i społecznych nerwów. Ten sposób myślenia dominował w trakcie wie-

lu zebrań i konsultacji przed referendum.

I znowu: wątpliwości, obawy, niepokoje, czy to się uda? Czy zapowiadane zmiany w gospodarce nie pójda dalej, niż w polityce i życiu społecznym lub też odwrotnie — czy nie zagraża sprawiedliwości społecznej, socjalizmowi? Ktą weźmie odpowiedzialność za przyszłość?

Jedno jest pewne: szukamy własnej, polskiej drogi do socjalizmu, uwzględniającej narodowe tradycje i charakter społeczeństwa, oraz warunki, w jakich ono istnieje. Na czele tego procesu stoi partia, która po wielu doświadczeniach minionego czterdziestolecia stawia na rzeczywiste walory socjalizmu, nie bojąc się osłabienia jego wartości i dotychczasowych zdobyczy. Uznaje — co potwierdziła na ostatnim plenum Komitetu Centralnego, że wszystkich zaprojektować, regulować i kontrolować do końca się nie da.

Trzeba iść do przodu, innego programu, innej drogi nie ma.

WIESŁAW NODZYŃSKI

Zaodra

NSPJ - SPD

Współpraca między NSPJ i SPD, której podstawą ma stanowić przyjęty w sierpniu br. wspólny dokument obu partii zatytułowany „Walka ideologii a wspólne bezpieczeństwo”, przybiera konkretne formy. Taki wniosek można wyciągnąć z wypowiedzi dla prasy przewodniczącego organizacji krajowej SPD w Palatynacie Reńskim Rudolfa Scharpinga, który przebywał niedawno z wizytą w NRD.

W kwietniu 1988 roku w NRD została zorganizowana międzynarodowa konferencja poświęcona zagadnieniom strefy bezatomowej w Europie, w której mają wziąć udział znani politycy socjaldemokratyczni z RFN. Również na wiosnę przyszłego roku organizacja krajowa SPD w Palatynacie Reńskim i kierownictwo NSPJ zorganizują najprawdopodobniej w Moguncji kolokwium poświęcone możliwości kontroli procesu niszczenia broni chemicznej w ramach układu międzynarodowego. W tym kontekście warto przypomnieć, że eksperci NSPJ i SPD wyrażają zgodne obawy, iż USA starają się przełamać jak najdłużej w czasie zawarcie takiego układu, aż do momentu, gdy Stany Zjednoczone przystąpią do produkcji nowych rodzajów broni chemicznej, których kontrola będzie znacznie trudniejsza niż obecnie.

Jeśli chodzi o „wypełnienie treścią regionalną” wspólnego dokumentu NSPJ i SPD, to miały już miejsce pierwsze kontakty między obydwojema partiami na szczeblu lokalnym. Mianowicie delegacja SPD z powiatu Hunsrück (Palatynat Reński) przebywała z wizytą u kierownictwa NSPJ w Luckenwalde (okręg Poczdam). Wkrótce ma na stąpić rewidzja. Rudolf Scharping wyraził nadzieję, że na tej okrajowej drodze kontaktów między NSPJ i SPD do prowadzić się do zawarcia partnerskiego porozumienia między tymi powiatami. Byłoby to ewenementem, ponieważ dotychczas zawarto kilkanaście porozumień partnerskich, ale tylko między dużymi miastami NRD i RFN.

Berlin i prowincja

Pogłębiają się różnice w zaopatrzeniu Berlina i pozostałych okręgów NRD. Według zgodnej opinii tutejszych mieszkańców, stolica kraju zawsze korzystała z pewnych przywilejów w tym zakresie. Różnice nie były jednak tak rażące, jak obecnie. Dotyczy to szczególnie towarów wyższej jakości, o które bardzo trudno w ośrodkach okręgowych i powiatowych, a których nie brakuje w Berlinie. Rok obecny okazał się pod tym względem szczególnie niekorzystny dla tzw. prowincji. Zwłaszcza kupno towarów pochodzących z importu jest tam bardzo trudne. Zmusza to mieszkańców miast i miasteczek do częstych wizyt w stołecznej metropolii. Widać to szczególnie w soboty, kiedy berlińskie domy towarowe oraz sklepy przemysłowe w centrum miasta oblegane są przez turystów z całej niemal Republiki. Przyjeżdżają głównie ludzie lepiej sytuowani, których celem są nie tylko to tejsze butik i sklepy delikatesowe, ale również sezonowe stragany z owocami i warzywami.

Prasa zachodniemiecka i zachodniobierlińska, która ostatnio dość często podejmuje problemy anomalii zaopatrzeniowych w NRD, uważa, iż główna przyczyna tej sytuacji było 750-lecie Berlina. Prawda jest, iż z okazji jubileuszu, który obchodzone niezwykle uprzyścisła, zadbano również o lepsze zaopatrzenie miasta. W stołecznych sklepach po-

jawili się towary, o które wcześniej było bardzo trudno. Na jednym z jubileuszowych jarmarków oferowano do sprzedaży nawet słynną eberswaldzką szynkę, rarytas produkcji zakładów mięsnych w Eberswalde. Szynki tej nie można kupić na terenie okręgu frankfurckiego, gdzie leży miasto Eberswalde — pisze zachodniobierliński DER TA GESSPIEGEL.

Obchody berlińskiego jubileuszu miały także ujemny wpływ na inne problemy ośrodków pozastołecznych. Najdotkliwiej odczuwa się to w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Ściągnięcie z prowincji ponad 30 tys. osób na place budowy Berlina, spowodowało widoczne opóźnienie realizacji lokalnych planów budownictwa. Wprawdzie duża część fachowców wróci na macierzyste budowy, ale odrobienie powstałych zaległości będzie trudne. Ponadto nie wszyscy oddelegowani do Berlina pracownicy chętnie „opuszczają” to miasto. Niektórzy z nich, jak się mówi, nadal chcieliby tu mieszkać cement i machać kielniami, otrzymując bowiem 200 marek rozłokowego miesięcznie oraz korzystają z wielu innych przywilejów.

Wracają pruskie orły

Zapoczątkowany przed kilkoma laty w NRD proces powrotu do pruskiej tradycji rozszerza się. Kolejnym tego przejawem jest powrót na swoje dawne miejsce przed zamek Lindstedt w Poczdamie dwóch pruskich orłów. Również na wieży Flakona, znajdującej się w przyzłankowym parku w Babelsbergu pojawił się złoty orzeł pruski w pełnej krasie.

Pruski orzeł — pisze zachodniobierliński skam BERLINER MORGENPOST, który przez kilka dziesięcioleci był w NRD zakazany jako symbol reakcji i agresji, jest w tym państwie ponownie honorowany. Wydaje się więc — kontynuuje gazeta — iż godło Hohenzollernów, unoszące się nad terytorium NRD, pozostaje także nad inne okręgi tego kraju. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce swojego, wykutego w płaskowku, orla pruskiego otrzyma także powiatowe miasteczko Haldensleben w okręgu magdeburskim. Orzeł ten, ustawiony tu z okazji urodzin pruskiego króla Wilhelma IV w roku 1848, usunięty został po II wojnie światowej jako symbol pruskiego militarysty.

Warto podkreślić, że powrót do pruskiej tradycji w NRD obejmuje również inne dziedziny życia. Szczególnie jednak przejawia się to w literaturze i sztuce. Aby się o tym przekonać, wystarczy zrobić krótką wycieczkę po tutejszych muzeach i salach wystawowych. Nasi zachodni sąsiedzi coraz częściej identyfikują się z pruską historią. Dzieje się tak, gdyż — jak twierdzi tu tejsi politycy — od własnej przeszłości uciec się nie da.

Zalaba

Likwidacja broni C

ZSRR spodziewa się, że w lecie 1988r. zostanie podpisana konwencja ONZ o powszechnym zakazie broni chemicznej. Pogląd ten przedstawił w Munster (powiat Soltau-Fallingb., radziecki ekspert rozbrojeniowy Sergiej B. Bazanow. Bazanow, kierownik referatu ds. energii atomowej i zakazu broni C w moskiewskim MSZ, wizytował na czele wysokiej rangi delegacji radzieckiej tam tejszy obiekt Bundeswehry, w którym niszczone jest broń chemiczna — pozostałość z okresu 1916-1945, w którym Niemcy produkowały broń C.

W składzie radzieckiej delegacji, która w poniedziałek wizytowała urządzenie Bundeswehry, znalazł się kierownik

budowanego w Czatajewsku radzieckiego obiektu do niszczenia broni C. Wsie wołod K. Sołowiow. Interesowały go szczegóły budowlane, gdyż jeżeli konwencja zostałaby podpisana w najbliższych miesiącach, wówczas ZSRR musiałaby zniszczyć w ciągu 10 lat swe zapasy broni C. Rosjanie nie wykluczyli współpracy z Republiką Federalną w tym przedsięwzięciu. „Musiałby być, ale nie dojdzie do potrzebnej zakazu broni chemicznej” — powiedział kierownik delegacji radzieckiej, dodając, że jest przekonany, iż technika, zaprezentowana gościom w Munster, będzie mogła się do tego przyczynić.

Urządzenie Bundeswehry w Munster niszczy dziennie do 350 kg gazów trujących z pierwszej i drugiej wojny światowej. W RFN ciągle jeszcze przechowywane są tysiące granatów i bomb wypełnionych śmiertelnościami gazem. Ocenia się, że urządzenie będzie musiało jeszcze pracować co najmniej 10-12 lat. Ogromne zapasy bojowych środków trujących, w zardzewiałych skorupkach, znajdują się w pobliżu pieca spalającego. Tutaj znajdowała się pierwsza niemiecka fabryka gazów bojowych, która rozpoczęła produkcję w 1916 r. Jej nazwa: „Gasplatz Brelich”. Od 1935 r. Niemcy eksperymentowali tu w placówce pod nazwą „Heeresversuchsstelle Rauka”. Prowadzono m.in. badania nad fosgenem, tabunem, clarkiem, gazem musztardowym i kwasem pruskim.

Niemieckie muzeum historyczne w Berlinie Zachodnim

W 1992 r. naprzeciw budynku byłego Reichstagu w Berlinie Zachodnim ma się rozpocząć budowa Niemieckiego Muzeum Historycznego (Deutsches Historisches Museum), czyli realizacja idei kanclerza Helmuta Kohla. Będzie to prezent kierowanego przez prezydenta federalnego dla miasta. Koszty budowy obiektu ocenia się dziś na 380 mln marek. Oficjalne powołanie do życia tej placówki było jednym z dwóch głównych końcówek akcentów obchodów jubileuszu 750-lecia miasta w Berlinie Zachodnim (drugim było uroczyste oddanie do użytku sali kameralnej przy filharmonii zachodniobierlińskiej). Dokładnie 28 października, a więc w dniu uznanym za dzień powstania Berlina, kanclerz RFN,

Helmut Kohl i burmistrz — szef rządu Berlina Zachodniego, Eberhard Diepgen, w obecności kilkuset zaproszonych gości podpisali w budynku byłego Reichstagu porozumienie między Republiką Federalną Niemiec a Berlinem Zachodnim o powołaniu do życia Niemieckiego Muzeum Historycznego. Następnie na placu naprzeciw Reichstagu, w miejscu gdzie ma stanąć to muzeum, odsłonięto tablicę z brązu z napisem: „W tym miejscu powstanie Niemieckie Muzeum Historyczne, Republika Federalna Niemiec ofiarowuje to muzeum krajowi Berlinowi z okazji jubileuszu 750-lecia miasta, 28 października 1987 r.”

Zieloni o swych spotkaniach w Moskwie

Na zaproszenie gospodarzy radzieckich w uroczystościach 70 rocznicy Rewolucji Październikowej uczestniczyła także delegacja partii Zielonych, w składzie: rzeczniczka zarządu federalnego, Dittfurth, i członek zarządu Maler. Zaproszenie przyjęto „z dużym zainteresowaniem”, wysyłając delegację nawet wyższej rangi niż SPD, która delegowała tam obserwatorów. Pierwsza delegacja Zielonych przebywała w Moskwie i Leningradzie w kwietniu 1986 r. i od tego czasu datują się kontakty Zielonych z KPZR. Na konferencji prasowej w Bonn, po powrocie, Dittfurth złożyła sprawozdanie z pobytu, z którego wynikało, że Zieloni zostali tam bardzo uhonorowani, że ich rolę oceniano w Moskwie wysoko, czego dowodem jest nawiązanie ścisłych kontaktów.

Zieloni przeprowadzili oddzielną rozmowę z Gorbaczowem, który dał wyraz zadowoleniu z ich obecności, zagalając spotkanie słowami „ekologia i socjalizm przystają do siebie”. W wystąpieniu Dittfurth na międzynarodowym forum „nie dostrzegł on prawie żadnych” elementów budzących sprzeciw. Rozmowa skupiała się na szeroko pojmowanych problemach ekologicznych, różnice zdań pojawiły się w sprawach energii atomowej, której Zieloni są przeciwnikami. Obu przedstawicielom Zielonych stworzono możliwość wystąpienia podczas uroczystości, chociaż liczba mówców na międzynarodowym forum była dość ograniczona w stosunku do liczby delegacji.



Z zielonogórskiego konkursu na rysunek satyryczny pt. „Prasa”

Rys. ZBIGNIEW ZIOMECKI

Na pierwszy rzut oka osiedle jest śliczne. Na polanie z trzech stron otoczone lasem stoją jednorodzinne domki. Każdy, kto przychodzi tutaj na spacer, patrzy z zazdrością na oazę ciszy, zieleni, komfortu. Przed każdym domkiem garaż, z tyłu ogródek. Domki przy ul. Braci Gierymskich w Zielonej Górze mają jeszcze inny atut — są położone na uboczu miejskiego zgiełku, a jednocześnie blisko jest do sklepu, do autobusu, na pocztę, do przychodni lekarskiej, bardzo blisko do szkoły.

Żyć nie umierać. Tylko z pozoru. To cudo ma zasadniczą wadę: cieknie dachy.

Kiedy mieszkańcy zwrócili się do naszej redakcji o interwencję, zadaliśmy sobie pytanie: czy dziurawe dachy w luksusowych domkach są na tyle ważnym problemem, by publicznie drzeć szaty?

Blizsze zbadanie sprawy ukazuje konsekwencje nieodpowiedzialności, nieprawidłowych relacji między wykonawcą i inwestorem, urzędniczą bezduszność pozorującą faktyczne działanie. Za kulisa mi tego malutkiego osiedla widać polską skrzępczą rzeczywistość budowlaną i karykaturalne wręcz stosunki między spółdzielnią mieszkaniową a jej członkami.

Idea budowy zrodziła się 8 lat temu w Przedsiębiorstwie Budowy Obiektów i Urządzeń Sportowych „Polsport”. Przyświecał jej złośliwy cel zapewnienia pracownikom mieszkań

z wzięcia pieniędzy, otrzymałam odpowiedź wymijającą.

Jesienią 1986 r. „Polsport” usuwał usterek na dachach. Według relacji jednej z mieszkanki wyglądało to tak: — Łatali, naprawiali na „odwal się”. Zachlatali dziury zaprawą, którą po dwóch tygodniach woda wypłukała.

Na razie nie ciekło. Kierownik budowy inż. Jerzy Niśkiewicz zbierał podpisy potwierdzające naprawę.

— Podpisaliśmy wszyscy, bo przecież było coś robione i wtedy akurat nie przeciekało — mówią mieszkanki.

W grudniu, przy pierwszej większej ulewie, zaczęło się lać. Ciurkiem. Trzeba było podstawiać miski, wiadra, wanny. Każdy silniejszy wiatr zrywał dachówki.

Wiosną 1987 r. po monitach mieszkańców spółdzielnia pisze do „Polsportu”, by jeszcze raz usunął usterek. „Polsport” nie robi nic, mimo dalszych mo-

również o wykonanie ekspertyzy dachów, które już w czasie przeglądu były reklamowane.

Spółdzielnia kontynuuje grę pozorów. Pisze do „Polsportu”, by zajął stanowisko. Znaczący to, że sama nie umie lub nie chce zająć stanowiska w żywotnej sprawie dla ludzi, którzy przecież wspólnie leżą na wynagrodzenie pracowników biura. Biuro zapomina, nie po raz pierwszy, ani nie ostatni, po co, i właściwie dla kogo, jest.

O grze pozorów świadczy i to, że spółdzielnia uprzedza „Polsport”, że na jego koszt zrobi ekspertyzę, a kiedy mieszkańcy domagają się takiej ekspertyzy, spółdzielnia odpowiada: zróbcie ekspertyzę na własny koszt, jeśli wypadnie korzystnie dla was, pieniądze wyegzekwujemy od wykonawcy.

W lipcu 1987 r. spółdzielnia uprawia jadową korespondencję, wiedząc doskonale, że za miesiąc upłynie termin rekojmy na dachy. Pisze, informuje, czeka na zajęcie stanowiska zamiast zaskarżyć niesolidnego wykonawcę. Jaki ma w tym interes?

Mieszkańcy na własny koszt zlecają NOT-owi ekspertyzę. Poświęcają własny czas na robienie tego, czym powinni się zająć urzędnicy. Energia urzędników jest skierowana na uniknięcie. Mieszkańcy z własnej kieszeni musieli zapłacić za ekspertyzę 142 tys. zł. Ich prośba o zwrocie przez spółdzielnię pieniędzy nie przyniosła rezultatu.

Termin wykonania ekspertyzy ustalo no na 10 października. Ponieważ zbliżała się jesień, pora deszczowa, mieszkańcy występują do Rady Nadzorczej (ciekawe, dlaczego ten społeczny organ do tej pory nie pomógł im w walce o dachy, ciekawie tym bardziej, że na 9 członków Rady aż 5 mieszka właśnie przy ul. Braci Gierymskich), aby spowo dowała tymczasowe zabezpieczenie dachów przed zimą, by nie dopuścić do coraz większych strat. Lokatorzy proszą Radę, aby przypomnieli pracownikom spółdzielni o ich obowiązkach wobec członków.

Rada Nadzorcza odpowiada, że zobowiązała zarząd do „niezwłocznego podjęcia działań zmierzających do likwidacji przecieków dachów”.

10 października mieszkańcy otrzymali ekspertyzę, z której wynika, że przy czyną wad pokrycia dachowego domków była zarówno zła jakość zastosowanych dachówek, jak również wady wykonawstwa budowlanego. Wnioski ekspertów w skrócie: dachy są zrobione źle, wykonano je z wadliwej jakości. Nie ma technicznej możliwości naprawy lub renowacji dachówek, trzeba je zdjąć i wykonać nowe pokrycie. Po nownie trzeba wykonać obróbkę blacharskie kominów i koszy odprowadzających wodę z dachów.

Mieszkańcy przekazali ekspertyzę spółdzielni, wnosząc o zwrot kosztów za jej wykonanie, zgodnie z wcześniejszymi obietnicami Rady Nadzorczej. Wnoszą również, by zarząd wytyczył sprawę są dową „Polsportowi” z tytułu udowodnionego wadliwego wykonania dachów z żądaniem pokrycia kosztów wymiany dachówki oraz obróbki blacharskich. Przedstawili również wstępnie sprzeczo wany zakres robót, które należy przeprowadzić zgodnie z zaleceniem ekspertów.

Na początku listopada w spółdzielni jakby coś drgnęło. Być może dlatego, że na stanowisku prezesa i jednocześnie kierownika biura pojawił się nowy człowiek inż. Jan Jarecki. Poprzedni prezes został zwolniony, gdyż w czerwcu br. na walnym zgromadzeniu zarząd spółdzielni nie uzyskał absolutorium. Już w końcu 1986 roku ilustracje tej spółdzielni wykonane przez jednostki nadzorcze i zalecenia prokuratorskie wykazywały, że dzieje się w niej niedobrze. Dlaczego więc z decyzjami ka drowym zwlekano tak długo? To jest osobny rozdział. Wróćmy do dachów.

Nowy prezes informuje upoważnionego przez mieszkańców ich przedstawiciela, że 2 i 3 listopada został na całym osiedlu dokonany przegląd pokryć dachowych w celu zobowiązania wykonawcy do usunięcia wad. Prezes prosi, by dostarczyli mu drugi egzemplarz ekspertyzy z przeznaczeniem dla wykonawcy. Informuje też, że zarząd może podojować tylko takie działania, które wynikają z obowiązku inwestora zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Spółdzielnia-inwestor nie zna albo nie pamięta uchwały nr 11 Rady Ministrów z lutego 1983 r. w sprawie ogólnych warunków umów o prace projektowe w budownictwie oraz o wykonanie inwestycji, robót i remontów budowlanych. W świetle tej uchwały spółdzielnia miała prawo, a w świetle przepisów spółdzielczych o obowiązku pociągnięcia do odpowiedzialności niesolidnego wykonawcy. Wobec mieszkańców zarząd zachowywał się nieodpowiedzialnie, wobec mienia spółdzielni (domy są własnością spółdzielni) nie wykazał należytej troski.

Dlaczego? Na to pytanie trudno odpowiedzieć je dnoznacznie. Lokatorzy snują różne domysły. Domysły zostawmy na boku.

Zapytałam „dlaczego” osoby odpowiadające. W biurze spółdzielni rozmawiałam z prezesem, zarządcą i kierownikiem biura inż. Janem Jareckim, zastępcą kierownika biura mgr Jolantą Krzywicką i pracownicą odpowiedzialną za sprawę eksploatacji i usterek Grażyną Utrata.

Pan Jarecki mówi, że poprzedni zarząd popełnił błąd, zgadzając się, by projekt, wykonanie i nadzór nad budową był w jednym ręku — w „Polsporcie”. — „Polsport” nie chce z nami rozmawiać. Ma dokumenty potwierdzające wykonanie usterek. Mieszkańcy ma-

LUMEL

portret reformowany

Halina Ańska

Kiedy w 1981 roku rozwiązywało się zjednoczenie „Mera” i powstawało w to miejsce zrzeszenie pod tym samym tytułem, zielonogórski „Lumel”, jak mówi naczelny dyrektor Henryk Cichorek, „rzucił się w głęboką wodę, nie wiedząc jeszcze, czy potrafi pływać”. Jako jeden z pierwszych zakładów w kraju i jako jedyny spośród fabryk podległych byłemu zjednoczeniu, postanowił spróbować samodzielności. Był to początek przemian wciąż jeszcze trwających i w sposób istotny zmieniających obraz zakładu.

OWIECZKA NIESFORNA

W kręgu przedsiębiorstw oznakowanych symbolem „Mera”, uznano „Lumel”, jak to określa dyr. Cichorek, za zakład „niesforny”. Podczas, gdy inne owieczki po chwilowym rozpozaniu pokornie powróciły do stada, „Lumel” powiedział „nie” i zmienił pięćdziesiątki.

Mimo to znak byłego zjednoczenia dalej figuruje na większości wyrobów i jeszcze przez jakiś czas pozostanie, albowiem wymiana form na nowe byłaby zbyt kosztowna.

Tak więc niesforne „Lumel” zaczął samodzielnie raczkować już w zaraniu reformy. Wprowadził surowe zwyczaje przeciwdziałające marnotrawstwu materiałów i czasu. Załoga poruszona nową sytuacją pracowała bardzo dobrze. „Puls fabryki uderza miarowo” — pisała prasa.

Okres ten ludzie wspominają z goryczą: — Zamiast profitów, dostaliśmy po kieszeniach i po głowie!

Co się stało? Nie wdając się w dość zawile szczegóły: oto Uchwała nr 86 Rady Ministrów z 1982 roku wprowadziła bardzo niekorzystne odniesienia do funduszu plac — i w efekcie, co wydawało się absurdalne, ale tak było, w lepszej sytuacji znalazły się zakłady, które działały na pół obrotach, a w gorszej te dobre, pracowite i oszczędne, jak „Lumel”.

Temat ten wypłynął właśnie teraz, po pięciu latach, podczas zebrania wydziałowego, kiedy dyrekcja informowała pracowników o wynikach ekonomicznych za dziesięć miesięcy 1987 roku. Produkcja netto 85,4 procent. Sprzedaż łączna 88,5 procent, podobnie też wykonano plan eksportu. Ogólny wynik finansowy: 90 procent.

Ludzie słuchali, a potem zadawali pytanie, we wszystkich wydziałach to samo: — Jakie będą kryteria płacowe w przyszłym 1988 roku?

Na to pytanie dyrekcja jeszcze nie ma odpowiedzi. Kryteria płacowe są nieznane.

Ludzie denerwują się: — Mamy wzmóc aktywność i pracować lepiej? Już to słyszyliśmy, gdy reforma się zaczynała. Kto zagwarantuje, że tym razem dobra praca się opłaci?

ZNAKI ZAPYTANIA

Załoga chce także wiedzieć, jaka będzie „czternastka”. Wypracowana w 1987 roku, wypłacona zostanie w roku 1988 już przy zwyczajce cen. Czy wobec tego podlegnie rewaloryzacji?

Pytania dotyczą nie tylko pieniędzy, które zasilą osobiste portfele, lecz także kilkuset milionów złożonych w banku jako zakładowy fundusz rozwoju. Czy prąd jest, że ta rezerwa finansowa, nie dość, że nie przynosiła odsetek, nie będzie rewaloryzowana? Teraz te miliony jeszcze coś znaczą, a w roku przyszłym — kto to wie?

Aktyw zakładowy i dyrekcja słyszą: — Czas hasel się skończył, chcemy wiedzieć, ile zarobimy!

Tymczasem jedynie, co można odpowiedzieć, także jest hasłem: „za dobrą pracę, dobra płaca”. Rodzi się więc pytanie aktyw i dyrekcji, stawiane retorycznie jako problem: — Jak agitować ludzi i jak wzbudzać w nich aktywność w tym trudnym, przełomowym okresie, gdy nie można im powiedzieć, ile zarobią w przyszłym roku?

KATAR I WYSYPKA

Dwa krótkie słowa: „akcja” i „kontrola” działają na załogę alergicznie. Ludzie bez sympatii odnoszą się do wszystkich, co ma znamiona aktywności. Dlatego atestacja prowadzona była nadzwyczaj ostrożnie, z poszanowaniem ludzi i wystrzeganiem się formalizmu.

Powstał zespół z wicedyrektorem Antoniem na czele, oraz komisje wydziałowe. Z początku ludzie nie wiedzieli, co to jest. Więc trzeba było zacząć od informacji, że atestowanie nikomu nie zagraża. Ze atestowane są stanowiska — nie ludzie, warunki pracy, jej organizacja oraz to, co w języku załogi nazywa się „uzbrojeniem” lub „oprządowaniem”.

— Patrzymy na twoje miejsce pracy, popatrz na nie i ty, człowieku, oceń i wyciągnij wnioski — taka była myśl przewodnia i w takim nastroju prowadzono akcje.

Zmiany struktur organizacyjnych wewnątrz fabryki rozpoczęły się już w 1984 roku i trwały w miarę, jak zmniejszała się załoga. Niektóre stanowiska zniesiono, inne zmieniono, jeszcze inne połączono. Przykładem jest stanowisko zastępcy dyrektora do spraw technicznych zajmowane przez Adama Antonia, który jest zarazem szefem Ośrodka Badawczo-Rozwojowego oraz pierwszym zastępcą dyrektora naczelnego.

NADMIAR KONTROLUJĄCYCH

Ledwie skończyła się kontrola w sprawie jakości, a już zaczęła się druga, w sprawie cen. Kontrolerzy z Izby Skarbowej nie zdążyli zamknąć za sobą drzwi, gdy weszli inni, z NIK-u, aby skontrolować wykonanie kolejnej Uchwały Rady Ministrów.

Skończyły swoje czynności panowie z NIK-u, a w portierni już meldują się trzej kontrolerzy z ministerstwa. Ci z ministerstwa siedzieli trzy tygodnie, a gdy wreszcie odjechali, przyjechali inni i usiedli na wygrzanych miejscach.

Są kontrole w sprawach przeciwpożarowych i sanitarnych, dotyczące bhp i wychowania w trzeźwości. Długo i cierpliwie męczą siebie i innych kontrolerzy ZUS, którzy charakteryzują się tym, że nie wierzą dokumentom istniejącym i każą sobie tworzyć nowe.

Płynnie czas wypełniony nikomu nieprzydatnymi czynnościami, kłopotami z wodą na dziesiątki szklanek herbaty. Zawracanie głowy, a tymczasem już zapowiedzieli kontrolę IRCh-a...

— Czy kontrolami naprawimy kraj, zmienimy gospodarkę, będziemy lepiej żyć? — mówią ludzie z powątpiewaniem. — Czy nie za dużo mamy kontrolujących? Dojdzie do tego, że będzie ich tyle samo, co kontrolowanych.

Na marginesie: podobno w pewnym mieście nie wydano rzemieślnikom zezwolenia na działalność tylko dlatego, że nie znaleźli wokół nikogo, kto znalazłby się na tej branży i mógł rzemieślnika tego kontrolować...

MNIEJ LUDZI

U zbiegu lat 1979—80 załoga liczyła prawie trzy tysiące osób. Na skalę miasta i województwa był „Lumel” mocarstwem.

Najpierw poszli młodzi emeryci, często w kwitującym stanie, korzystający z otwartej właśnie furtki do zasłużonego, choć może zbyt wczesnego wypoczynku. Potem zaczęli odchodzić wysoko wykwalifikowani fachowcy, podkupywani przez powstające na fali odnowy rozmaite firmy.

Zegnali „Lumel” czasem po wielu latach pracy i obejmowali gdzie indziej stanowiska wyższe i lepiej płatne, np. w „Wielkiej Mineralnej” w Cigacicach, w „Unitrze” czy „Polonie”, zamieniając status pracownika fizycznego na „mysłowego, co też nie było bez znaczenia.

Wiadomo nie od dziś, że „Lumel” jest kuznią kadr. Wychowani tu tokarze czy szlifierze, to narzędziowcy najwyższej klasy. Nic też dziwnego, że oferuje się im awanse.

Poodechodzili również inni świetni fachowcy do rzemiosła i handlu, pozakładali butiki, kwiaciarne. Niekiedy po prostu szkoda tej „złotej raczki”, która teraz zawijałaby kokardkę na lodyżce gerbera.

ciąg dalszy na str. 4

KTO MA WYPIĆ TO PIWO?

Lucyna Grabowska



Fot. MAREK DANKOWSKI

przy wykorzystaniu atutów przedsiębiorstwa — własnych służb projektowych i wykonawczej grupy budowlanej. Ta lo kalna inicjatywa korespondowała z polityką państwa.

Różne względy zadecydowały o tym, że „Polsport” zawarł porozumienie ze Spółdzielnią Budowlaną - Mieszkaniową i Pomocy w Budownictwie Jednorodzinnym w Zielonej Górze. Spółdzielnia była inwestorem, a „Polsport” projektantem i wykonawcą. Umowa była korzystna dla obu stron. Za objęcie obowiązków inwestora spółdzielnia otrzymała do swej dyspozycji 4 domki z 40 budowanych w pierwszym etapie. Była również zobowiązana przyjąć do gro na swych członków osoby wyznaczone przez „Polsport”.

Budowa ruszyła w 1982 r. W czerwcu 1985 r. spółdzielnia odebrała od wykonawcy 25 domków, a w październiku następnych 15. Zasada tej budowy polegała na tym, że spółdzielnia oddaje lokatorowi domy w stanie surowym, zamkniętym. Mieszkańcy we własnym zakresie mieli je wykończyć.

Niedługo po przekazaniu domków, mieszkańcy, którzy spędzali w nich po południa, wieczory, soboty, niedziele kładąc podłogi, urządzając łazienki, robiąc stolarke wewnątrz, itp. stwierdzili, że przeciekają dachy. Informowali o tym spółdzielnię. Musiał znaczyć sytuację także „Polsport”, bo przecież większość lokatorów była pracownikami tego przedsiębiorstwa, a kilku z nich pełniło funkcje inspektorów nadzoru, kierowników budowy, projektantów.

W roku 1986 po wprowadzeniu się do domów lokatorzy stwierdzili, że dachy przeciekają coraz mocniej. Próbowali latać je we własnym zakresie, ale nie przynosiło to większych efektów. Już wówczas dla nikogo nie było tajemnicą, że dachy są źle zrobione. Zły jest materiał i niedbałe wykonanie.

Podczas przeglądu gwarancyjnego w czerwcu 1986 r. stwierdzono, że w znacznej części domów przeciekają dachy. Wykonawca został zobowiązany do usunięcia usterek, ale ociągał się. Mieszkańcy cy interweniowali w spółdzielnię. Spółdzielnia oddała sprawę do arbitrażu. „Polsport” przegrał i został zobowiązany do usunięcia usterek oraz do zapłacenia kary za zwłokę.

Na marginesie. Spółdzielnia, mimo, że nie cierpi na nadmiar funduszy, dobrowolnie nie pobrała należnej jej kary od „Polsportu”. Szefowie obu firm zapytani, jakiej wysokości była kara, odpowiadają, że nie pamiętają. Na pytanie, dlaczego spółdzielnia zrezygnowała

nitów, zasłaniając się podpisami lokatorów.

Wiosną 1987 r. mieszkańcy indywidualnie pisali i ustnie interweniowali w spółdzielnię. Nie było konkretnej reakcji, poza tym, że biuro spółdzielni wysłało pisma lokatorów do „Polsportu”, który nie robił nic w tej sprawie. Spółdzielnia wyznaczała kolejne terminy usunięcia wad.

Nic konkretnego z tej korespondencji nie wynikało. Dachy dalej ciekły. Mieszkańców zalewała już nie tylko woda, ale i zła krew. Z dnia na dzień nabierała przekonania, że spółdzielnia nie reprezentuje ich interesów (nie chce?, nie może?, dlaczego?), a pisanie do „Polsportu” jest tylko pozorowaniem działalności.

— Robią sobie z nas żarty — mówi pani Genowefa Fabisiak. Cieknie w łazienkę, garażu, nad schodami. Zgłaszałam na zebraniu, zgłaszałam dwa razy w biurze. Odpowiedzieli, że naprawią do lipca. Nie naprawili. Przylepiłam coś na ga rażu polkitem, zaraz się odlepiło. Dach nad domem nie naprawili.

— Cieknie z kosza (kosz stanowi wspólny odpływ wody z dachów sąsiadujących budynków — przyp. LG) do mieszczanka — mówi lokatorka domu nr 9 — przecieka z komina, gnije płyta pilśniowa, pleśń wychodzi na pokój przez podsuftówkę. Trzeba wymienić mur-łatę, bo jest mokra na okragło. Chodziły ko misje, patrzyli, pisali. Gdy się upomniałam, w „Polsporcie” mi odpowiadają, że powinien Bogu dziękować za taki domek. W czasie przeglądu przedstawicielka spółdzielni zamiast nas reprezentować przywoływała lokatorów do porządku, upominając, że terminy zgłoszeń minęły.

Ponieważ indywidualne interwencje nie przynosiły skutku, 29 czerwca 1987 roku lokatorzy zbiorowo zwracając się do spółdzielni (36 osób na 40 zamieszku jących tutaj), by zdecydowanie broniła ich interesów. W swym piśmie przejrzyście tłumaczyła, co spółdzielnia sama a powinna wiedzieć od początku. Proponując kroki, które spółdzielnia sama a powinna znacznie wcześniej podjąć, bo przecież jej zadaniem jest służyć lokatorom, dbać o ich interes.

Wnosimy — piszą mieszkanki, — aby spółdzielnia zleciła na koszt „Polsportu” wykonanie fachowej ekspertyzy, która oceniłaby wykonanie dachów zgodnie z normami budowlanymi i w ślad za tym zleciła niezależnemu wykonawcy na koszt „Polsportu” naprawę dachów zgodnie z wytycznymi zawartymi w ekspertyzie. Mieszkańcy wnoszą

ciąg dalszy na str. 5

LUMEL

portret reformowany

Ciąg dalszy ze str. 3

Pracownik, który jeszcze niedawno naprawiał w „Lumelu” urządzenia hydrauliczne w ramach działalności tzw. zespołów gospodarczych, teraz także je naprawia, ale już jako rzemieślnik zaangażowany z zewnątrz, właściciel prywatnej firmy. Odszedł z zakładu, gdy zespoły gospodarcze, tak gorliwie z początku i widziane życzliwie, doprowadzone zostały pod 12-procentowy próg podatkowy — i skutkiem tego uległy likwidacji.

Wszyscy ci ludzie może by w zakładzie zostali, gdyby można było przedstawić im najbliższą przyszłość dość atrakcyjnie i konkretnie.

Od wprowadzenia reformy, liczba pracowników produkcyjnych zmalała o 20 procent, a biurowych o 25 procent. W sumie załoga „Lumelu” liczy teraz 1300 osób i pracuje tylko na jedną zmianę.

A MASZYNY STOJĄ

Dyrektorzy Cichorek i Anton, przewodniczący Gajkowski, sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR Ryba i inni, mówią, że serce się kraje, gdy człowiek wchodzi na wydzielony i widzi maszyny stojące w bez ruchu. Nie zarabiające ani na siebie ani na ludzi. Nie spełniające swych funkcji. Nie przysparzające dóbr materialnych zakładowi, województwu, krajowi.

Mają dalej tak stać i rdzewieć?

W tym miejscu powie ktoś, że sytuacja zmusza „Lumel” do jednoznacznych działań. Dyrekcja powinna jak najszybciej urządzić wielki nabór ludzi, przywrócić pracę zmianową i na powrót stać się mocarstwem.

Ale jest to model stary.

W założeniach drugiego etapu reformy nie ma nic na temat zwiększania zatrudnienia w gospodarce państwowej. Jest natomiast szeroka dowolność w wyborze dalszej drogi życia. Można się zdecydować na taki model przedsiębiorstwa, jaki aktualnie uznaje się za najlepszy i najkorzystniejszy.

W Japonii, Finlandii, w Chinach — gdzie był niedawno dyr. Anton i widział, także w rozsiadanych po świecie zachodniemieckich zakładach Simensa, z których z co najmniej z jednym „Lumel” współpracuje, podobnie też w sławnym włoskim „Fiatcie”, dla którego robimy od dawna części zamienne do rejestratorów, wszędzie tam panuje model firm menedżerskich.

Nikt tam nie zabiega o mocarstwo, nie powiększa hal produkcyjnych, wypełnionych ludzkimi mrówkami. Przeciwnie. Produkcja polega na kooperatywie z małymi zakładkami, wyspecjalizowanymi w wytwarzaniu jakiegoś jednego elementu. Ster całego spoczywa w rękach załogi menedżerów, świetnych fachowców nie tylko w potrzebnych dziedzinach technicznych, ale też w dziedzinie organizacji.

Być może właśnie w tym kierunku podąży nasz „Lumel”? Bo reforma zbliża i urealnia pomysły, które jeszcze niedawno uważano za szalone.

MAŁE JEST PIĘKNE

Zenon Gajkowski daje przykład szwajcarskiego zegarka. Każdy trybik wytwarzany jest w innym, maleńkim zakładzie. Mimo to całość, jest uznanym na całym świecie przykładem doskonałości i niemożliwości absolutnej. A więc małe jest piękne. Czy również w naszych warunkach?

Niestety, nie. Na Zachodzie zlecają malemu zakładowi produkcję, główny producent ma gwarancję, iż otrzyma część najwyższej jakości. Małe zakłady są supernowoczesne pod względem technologii i techniki. W Polsce chcąc pozyskać kooperanta, trzeba mu zapewnić wszystko, od urządzeń technicznych, po technologię. U nas „małe”, znaczy „prymitywne”.

„Lumel” wypożycza i wydłuża maszyn. Na lumelowskich urządzeniach pracuje Spółdzielnia Inwalidów w Karpicku, wytwarzająca zasilacze do regulatorów. Na lumelowskiej nawijarce zakupionej swego czasu w Szwajcarii, Spółdzielnia Inwalidów we Wschowie produkuje cewki do przyrządów pomiarowych. Rzemieślnik, p. Burzok podjął się produkcji elementów z gumy, a ponieważ sprawdził się jako kooperant, maszyna została mu odsprzedana.

W ten sposób „Lumel” zaczyna powolutku i maleńkimi kroczkami zmierzać ku nowemu. Może kiedyś, może już niebawem, załoga zmniejszona do kilkuset osób, sterować produkcją taką, jaką kiedyś wytwarzał „Lumel” w poprzednim wcieleniu, lub większą?

Uczestnicy kooperatywy za granicą konkurują ze sobą o lepsze miejsce u boku wielkiego „bossa”. Dyr. Cichorek opowiada o trzech maleńkich zakładach we Włoszech, produkujących kolekcję rozporówek dla „Fiatu”. Te miniatury i nie najważniejsze elementy są stale ulepszone. Zakłady wciąż poprawiają specjalizację, znajdując się w niepewności, czy przypadkiem konkurent nie wymyślił czegoś, co wpłynie na lepszą jakość produkcji i niższą cenę.

Może kiedyś również u nas odczujemy ożywczy wpływ konkurencji?

NOWOCZESNOŚĆ

Gdyby zwolnić wszystkich stu konstruktorów, produkcja dalej by szła, bo produkowano by rzeczy stare. Ale w takiej dziedzinie, jaką reprezentuje „Lumel” nie wolno pozwolić sobie na pozostawanie w tyle.

Wciąż pomimo trudności, na pokonanie których inżynierowie tracą swój cenny czas, działa i pracuje OBR, a specjaliści głośnią się nad nową generacją wyrobów. Powoli zawiązuje się Zakład Innowacyjno-Wdrożeniowy.

Zagraniczny gość z kraju o wysokiej technice, oprowadzony niedawno po „Lumelu” i zapytany o wrażenia, powiedział dosłownie: — Jestem zaskoczony i zdumiony, ponieważ zobaczyłem zakład nie odbiegający od przeciętnego poziomu na świecie.

Dyrekcja, Samorząd, Komitet Zakładowy, Związki — mogą różnić się zdaniem na taki czy inny temat i spierać się w różnych sprawach. I tak właśnie się dzieje. Generalnie zgadzają się co do jednego: że zakład dla siebie radę nawet w najtrudniejszych sytuacjach, pod warunkiem, że nie będą one co rusz zmieniane i korygowane. Wewnętrzna mała stabilizacja sprzyja myśleniu.

ŻYC ZA 75 DOLARÓW

Stawka od 34 do 150 złotych za godzinę, daje w sumie zarobki w wysokości od kilkunastu, do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Pod względem uposażeń w pierwszym półroczu br. „Lumel” zajmował ósme z kolei miejsce w województwie. Rozpiętość jest duża, ale średnia — niska.

Toteż każda rozmowa sprowadza się teraz do tematu pieniędzy. W telewizji mówią — reforma. A ludzie mówią „pieniądze”.

Zenon Gajkowski, który już dwie kadencje przewodniczył Radzie Pracowniczej, a w zakładzie od 1969 roku jest komendantem Straży Przemysłowej, mówi, że przeciętne pobory w „Lumelu” przeliczone na walutę amerykańską po cenie obowiązującej w banku PRL, wynoszą 75–80 dolarów.

Obywatel USA z takim uposażeniem maluje sobie tabliczkę „Jestem głodny, proszę o wsparcie” i siada na ulicy w ruchliwym miejscu.

Natomiast obywatel PRL organizuje sobie życie dzielnie i ambitnie. Placi w terminie czynsz, światło, gaz i telefon, ubiera się, je, pije, lalki pali i jeszcze odkłada na PKO.

Tak oto na przykładzie przeciętnego pracownika „Lumelu” sprawdza się polski fenomen gospodarczy, który jednakże pomimo całego podziwu skłania do zastanowienia się. Dlaczego 2 x 2 w Polsce daje inny wynik, niż to samo działanie na świecie? Dlaczego mamy tak odmienne relacje kosztów i cen? Dlaczego tak odstajemy?

CZAS PRZYMIAREK

Tymczasem na biurku dyrektora Cichorka piętrzy się kolejny protokół pokontrolny, 50 stron maszynopisu, z wnioskami i zaleceniami. A od jutra nowa kontrola, nowe sprawy, które czas nieśie — i wleżał te same, niezapokojone pytania.

Mimo wszystko wychodzę z „Lumelu” z pewnym optymizmem. Nowe zawsze jest trudne. Podobno z chaosu narodził się świat. Trzeba zaryzykować. Trzeba w coś uwierzyć. Przyszłość należy do odważnych.

HALINA ANSKA

— Jesteś od 18 lat dyrektorem Domu Kultury, członkiem Komisji Kultury przy Ministrze Komunikacji, członkiem Komitetu Zakładowego i Środowiskowego PZPR, przewodniczącym Miejsko-Gminnej Rady PRON. W powszechnej opinii kierujesz swoją placówką kultury wzorowo, stąd zostałeś laureatem Lubuskiej Nagrody Kulturalnej. Czy masz receptę na efektywne upowszechnianie dóbr kulturalnych?

— Takiej jedynej recepty nikt zapewne nie ma. Naszą codzienną troską jest ciągłe rozszerzanie aktywnego uczestnictwa w kulturze poprzez zwiększanie ilości zespołów, organizowanie imprez o różnej tematyce i adresowanych do różnych środowisk społecznych. Wszystkie założenia programowe naszej placówki są konsultowane ze Społeczną Radą Programową, której przewodniczy Tomasz Spychała, natomiast programy wieloletnie i roczne omawiamy ze zwierzchni kami jednostek służbowych i służbą socjalną PKP. Korzystamy również z pomocy i uwag, wnoszonych przez naszych przyjaciół z zewnątrz. Wieloletni program obejmuje działalność oświatową Biblioteki i Domu Kultury, rozpowszechnianie filmów oświatowych i fabularnych w kinie „Muza”, organizowanie imprez artystycznych, działalność wśród dzieci i młodzieży, spotkania i konkursy, turnieje i wystawy, działania na rzecz zapobiegania i zwalczania zjawisk patologii społecznej, no i rokrocznie organizowane ogólnopolskie Spotkania z piosenką kolejarzską.

— Niedawno egzekutywa Komitetu Zakładowego PZPR omawiała waszą działalność, w obecności dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW Barbara Fijałkowskiej, przedstawiła KW PZPR Wiesława Gancediego, Stanisława Buczkowskiego — naczelnika Zarządu Urzędów Socjalno-Bytowych Zachodniej DOKP w Poznaniu oraz Barbary Łojewskiej — naczelnik Oddziału Socjalnego w Zielonej Górze. Jakie wnioski?

— Ocena na ogół wypadła pozytywnie, co może zabrzmić nieskromnie. Ale tak jest prawda. Istotne, że uczestnicy tego posiedzenia poparli nasze wnioski, dotyczące przyspieszenia zakupu aparatury video, wzmocnienie opieki nad sąsiednimi klubami wiejskimi, zakończenie remontu oraz zamknięcia mieszkan dla niezbędnych w Domu Kultury

fachowców, np. choreografa, czy plastyka.

— No, właśnie. Pięknie odnowiliście swoją placówkę. Skąd na to pieniądze?

— Na razie nie narzekamy na brak funduszy. Oddział Socjalny w Zielonej Górze przeznaczył 18 mln zł na działalność placówek kulturalnych PKP w Zbąszynku, Rzepinie, Zielonej Górze i Zaganiu. Ponieważ jesteśmy najbardziej aktywni, stąd też i dotacje mamy największe. Do końca października br. wydaliśmy przeszło 16 mln zł, w tym remont kosztował nas około 7 mln zł.

SPEŁNIAĆ POTRZEBY SPOŁECZNE

Z Marianem Dobakiem, dyrektorem Domu Kultury Kolejarza w Zbąszynku rozmawia Zenon Łukasiewicz

— Ten piękny wystrój — to także element kultury?

— Oczywiście. Przecież jesteśmy wzorową placówką na terenie ZDOKP. Działamy na wiele zespołów: kapela koźlarzy pod kierunkiem Tomasza Kotkowiaka i Jerzego Skrzypczaka, cztery zespoły muzyczne, które prowadzi Marian Piglas, Stefan Panczocha i Stanisław Droszcz, dziecięcy teatrzyk kukielkowy, prowadzony przez Lucynę Bubernak... Ewa Zwiernik kieruje dziecięcymi zespołami tanecznymi, dziecięcą estradą poetycką zajmuje się Lucyna Bubernak, orkiestrą dętą — Roman Wośko. Są ponadto sekcje plastyczne, fotograficzne, brydżowe, jest na miejscu ognisko muzyczne, a w Przedszkolu nr 2 prowadzi my zajęcia umuzykalniające. Dodam też, że mają u nas swoje siedziby liczne organizacje społeczne. W najgorszych warunkach, ze względu na ciasnotę, pracuje Biblioteka, kierowana przez moją żonę, Marię. Łącznie zatrudniamy 7 osób na pełnych etatach, pracowników merytorycznych, zaś 5 osób zatrudniamy w wymiarach godzinowych jako instruktory poszczególnych zespołów.

— Rozumiem, że wiele imprez orga-

nizujecie poza Domem Kultury bądź też mają one charakter ogólnopolski.

— W tym roku np. na miejscu zorganizowaliśmy 16 imprez artystycznych, natomiast poza Domem Kultury — 11. I tak np. byliśmy uczestnikami akademii z okazji Dnia Kolejarza w Poznaniu, u nas odbyła się wojewódzka inauguracja roku szkolenia partyjnego, urządziliśmy liczne okolicznościowe festyny. No, i odbyły się XIII Ogólnopolskie Spotkania „Kolejarskie Rytm” — Zbąszynek '87. Wzięło w nich udział 14 zespołów wokalo-instrumentalnych o-

raz 4 solistów. Główną nagrodę przyznano Amatorskiej Estradzie Kolejarskiej „Wóz Harrego” z Domu Kultury Kolejarza w Jarocinie. Ponadto nagrody otrzymali: zespół „Veto” z Klubu Kultury w Tarnowie, zespół „Splin” z Domu Kultury w Wałbrzychu oraz solistka Zofia Ławrynowicz z Domu Kultury w Stargardzie Szczecińskim. Wyroznieniami uhonorowano: zespoły z Chełma, Elbląga i Łodzi. Można stwierdzić, że ta nasza impreza zyskała już sobie uznanie w całym kraju i ma co raz większy poziom...

— Ile kosztuje jej organizacja?

— Około 300 tys. zł, ale jest to dotacja z Ministerstwa Komunikacji.

— Ministerstwo jako samodzielna jednostka przestało istnieć, połączone resorty. Czy nie macie obaw, że i wasza funkcja ulegnie zmianie?

— Jesteś optymistą. Być może, w II etapie reformy będziemy musieli wypracować po prostu więcej własnych środków finansowych. Ale to okaże najbliżej przyszłość.

— Dziękuję za rozmowę.

PIENIĄDZE A KULTURA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

województwie 44 państwowe, czyli podlegające radom narodowym, domy i ośrodki kultury. Jednostek administracyjnych w Zielonogórskim jest 57. W najbliższych latach nie przewiduje się powołania ośrodków kultury w gminach: Dąbie, Bytnica, Brody i Maszewo. Są miejscowości, na przykład Zbąszynek, w których funkcje placówek powszechnie dostępnych pełni zakładów domu kultury. W każdej gminie powinna istnieć biblioteka, w mniejszej, miejscowości jej filia lub punkt biblioteczny. Półki książek będą drogą, a księgarnie tylko w większych miejscowościach, społeczeństwo musi mieć dostęp do prasy i literatury.

— Dekapitalizacja bazy, brak mieszkań dla pracowników, niskie płace, trudności w zakupie mebli, sprzętu muzycznego, audiowizualnego — to te czynniki, które nie pozwalają kulturze rozwijać się. Może dojdzie do tego, że ulegną likwidacji niektóre placówki?

— O tym decydować będzie społeczność miejska czy gminna. Ponieważ pieniądze z Funduszu są ograniczone, lokalna rada narodowa zdecydowała, na co je wydać. Ile na zakup książek do biblioteki, ile na działalność domu kultury, ile na remonty świetlic i klubów. Na przykład Wojewódzki Fundusz Rozwoju Kultury w bieżącym roku przekazał gminie Szczaniec 5,7 mln złotych, gdyż na tyle było go stać. Środki te zostały wycofane o: 1 mln zł z funduszu gminnego, 125 tys. zł z nadwyżki budżetowej GRN, 300 tys. zł z nagrody za udział w konkursie „Gmina — Mistrz Gospodarności”, 400 tys. zł z Świebodzińskiego Kombinatu Rolnego i 200 tys. zł z rad sołeckich. Do końca września br. Gminny Ośrodek Kultury w Szczaniec uzyskał 700 tys. zł, w wyniku prowadzonej działalności usługowej. Są to tzw. dochody własne, których wysokość zależy od prężności, aktywności czy zaradności placówki. Ponadto niektóre rady sołeckie w gminie Szczaniec kupiły sprzęt (meble, instrumenty muzyczne) do większych sal i klubów. Naczelnik zaproponował. Gminna Rada w Szczaniec dokonała podziału zebranych środków i tylko ona jest władna rozliczyć tamtejsze placówki kultury z wykorzystaniem przydzielonych pieniędzy.

W gminie Szczaniec poradzono sobie z funduszami na działalność kulturalną, ale są takie miejscowości w naszym regionie, gdzie gdyby nie dotacja wojewódzka, likwidacji uległyby wszystkie placówki. W bieżącym roku Miejska Rada Narodowa w Łeknicy, miasteczku liczącym 2,3 tys. mieszkańców, posiadała 3 placówki kulturalne, na działalność kulturalną nie przekazała ani złotych. Rada w Gozdnie uznała, że tylko kwota 50 tys. zł jest w stanie wesprzeć tamtejsze placówki kultury. Wiele rad narodowych uważa, że skoro powstał Fundusz, to jego przede wszystkim

rzeczą jest troszczyć się o kulturę. Myślę, że takie stanowisko rady zajęły dla tego, że potrzebują środków na gospodarkę komunalną, ochronę zdrowia, oświatę. Niewielki jest też udział zakładów przemysłowych w świadczeniach na lokalne FRK. Dotąd przekazały one zaledwie 0,5 mln zł. Zdarza się, że zakłady pracy wspierają działalność instytucji kultury, ale nie w postaci środków finansowych.

— Potrzeby kultury wojewódzkiej są ogromne. Gdyby nie dotacja z Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury nie byłaby w stanie utrzymać tego, co już posiadamy.

— W 1987 roku województwo zielonogórskie otrzymało miliard 117 milionów złotych z Centralnego Funduszu. Znalazły się w nim i środki dodatkowe przeznaczone na waloryzację placówek kultury, przekazane dopiero w drugiej części roku. Do tej sumy na leży doliczyć 175 mln zł z terenowych funduszy i nadwyżek budżetowych rad narodowych, 32 mln zł z nadwyżki budżetowej Wojewódzkiej Rady Narodowej oraz blisko 40 mln zł z zasobów rad sołeckich i innych gestorów działalności kulturalnej w województwie. Wszystkie jednostki kultury uzyskały dochody własne w wysokości 42 mln zł, najmniej biblioteki, gdyż ich możliwości są ograniczone. Łącznie udział środków finansowych pozyskanych w naszym województwie w wydatkach na kulturę wynosi w stosunku do dotacji z FRK około 30 procent i jest wyższy niż w roku ubiegłym. Są głosy domagające się, by wysokość dotacji z Funduszu była uzależniona od wielkości udziału własnego miasta czy gminy. W tym przypadku gminy rolnicze, małe, nie posiadające przemysłu często mogłyby zostać pozbawione dotacji z Funduszu.

— Instytucje artystyczne mają charakter przedsiębiorstwa państwowych i jak wszystkie przedsiębiorstwa odprowadzają podatki. Jedne, na przykład Estrada, nie otrzymują na działalność żadnej dotacji z Wojewódzkiego FRK, inne — Teatr i Filharmonia — są dotowane. Dyrektorzy wszystkich instytucji mogą do wolnie ustalać ceny biletów, ale nie wolno im wypłacać dowolnej sumy honorarium zaproszonym artystom, gdyż regulują to odpowiednie przepisy. Jak więc pogodzić to z ich samodzielnością? Czy drugi etap reformy gospodarczej nie doprowadzi do tego, że niektóre instytucje artystyczne ulegną likwidacji?

— Nie by się nie stało, oczywiście teoretycznie, gdybyśmy zlikwidowali Teatr czy Filharmonię. W praktyce by to oznaczało, że wielu zielonogórczyń, szczególnie tych nie z bogatych, nigdy w życiu nie zobaczyłoby ani żywego aktora na teatralnej scenie, ani muzyka we fraku. Lubuszanie byłiby skazani na odbiór teatru i muzyki za pośrednictwem telewizji, radia czy kina. Kontakt z żywym teatrem i muzyką człowiekowi jest niezbędny lub, co należy do nas, powinien stać się niezbędnym. Kultura to

przecież nie zajmowanie wolnego czasu po pracy, to nie tylko rozrywka i zabawa, lecz i wychowanie, i kształcenie osobowości, i poszukiwanie nowych wartości. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek podjął decyzję o likwidacji tego, co już mamy, co jest nam potrzebne, bez czego byłoby nam uboższ.

Filharmonia Zielonogórska organizuje rocznie blisko 80 koncertów symfonicznych i około 1400 audycji przedśkolnych, szkolnych, koncertów adresowanych do młodego pokolenia w Zielonogórskim i województwach ościennych. Przecież to nie jest robione po to, by zająć czas filharmonikom, o czym świadczy frekwencja na koncertach. Ale gdybyśmy nie dotowali z Funduszu działalności Filharmonii, bilet na koncert symfoniczny kosztowałby nie 100 zł, lecz 1500 zł. Za bilet do Teatru widz dorosły płaciłby 1000 zł, a placę do 200 zł. Żaden rodzic nie dałby swojemu dziecku 1000 zł, by obejrzało przedstawienie sceny lalkowej. Należy się spodziewać, że dotacje z Funduszu dla instytucji artystycznych będą się zmniejszały. Dotąd obowiązywała zasada, że 10 procent budżetu instytucji musi wyprowadzić sama, w wyniku działalności artystycznej. W przyszłym roku udział środków własnych zostanie podniesiony do 30 procent. Takie są propozycje. Uważam, że nigdy nie będzie tak, by Teatr czy Filharmonia w całości sfinansowały swoją działalność. W żadnym kraju nie ma takich warunków, które umożliwiłyby kulturze zarobić na siebie.

— Mimo wszystko kultura zaczyna się komercjalizować. Gonienie za pieniądzem powoduje, że domy kultury organizują idiotyczne turnieje, wydają broszurki pozbawione jakiegokolwiek wartości, zapraszają artystów, którzy w ciągu jednego dnia potrafią wystąpić w kilku miejscowościach.

— Tak, jest wiele imprez, wydawnictw, które służą nie wiadomo komu i czemu. Pewne festyny, organizowane przy udziale zakładów pracy, są potrzebne. Zbiorowe przeżywanie rywalizacji ma wiele cech pozytywnych. Uważam, jednak, że tych imprez nie należy organizować za pieniądze pochodzące z Funduszu.

Na upowszechnianie kultury nie można zarobić. Zarobić można na usługach kulturalnych, a więc organizując imprezy rozrywkowe, stwarzając warunki do odtwarzania i nagrywania płyt, taśm magnetofonowych i magnetowidowych, prowadząc usługi poligraficzne, fotograficzne. W kulturze jest wiele rezerw, trzeba po nie sięgać. I, co jest bardzo ważne, należy lepiej zorganizować swoją działalność. W drugim etapie reformy gospodarczej kultura nie może zostać pozostawiona sama sobie i być traktowana wyłącznie jako nadbudowa, lecz musi być społeczeństwu niezbędna.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ALFRED SIATECKI

z godziną przerwą na posiłek, nie był to jednak obóz pracy. Można się było przybyłach uchować. A mimo to spróbował stamtąd uciec. Dotarł do Katowic i tam go ujęto. Odcierpiął parę miesięcy w obozie karnym w Kędzie rzynie, na budowie tamtejszych zakładów chemicznych, skąd wrócił z powrotem do bauera. Nie przyjęło go tu przyjaźnie, ale był to już rok 1943, po

dom (tu do dziś jeszcze stoją wolne) wzięła trochę pola, kupiła jałówek, wróciła do tego były jeszcze dwie krowy. Dzieci codziennie miały świeże mleko, rosły jak na drożdżach.

Tadeusz w końcu nie wytrzymał. Co to za życie na dwa domy, dzieci rosły bez ojca. I choć z kopalni nie chcieli go zwolnić, był już starszym rębaczem — w 1956 r. i on znalazł się w Zasiakach. Kiedy zobaczył, ile tu ziemi jeszcze się marnuje, odezwała się w nim dusza gospodarza. Zamienił gospodarstwo na większe. Tylko ten dom był mniej-

wie jeśli się wszyscy — nie licząc całej rodziny — zjedzą w domu, chałupa pęka w szwach.

To trzeba zmienić nazwę Brożek na Krupowo — żartuje ktoś z obecnych. I nie byłoby w tym większej przesady, tak mocno wrosła w tę nadgraniczną ziemię. Przykładem niech będzie najstarszy syn Józef, ten co poznawał świat w Sudetach. Też żonaty, o jego żonie Marii Tadeusz Krupa mówi, że jest to jego najlepsza synowa. Józef pracuje na kolei, jest odpowiedzialnym pracownikiem granicznego punktu zwalczającego PKP w Forcie, już po tamtej stronie granicy. Maria obsługuje przystanek kolejowy w Zasiakach. Mieszka tuż na Nysą, w odremontowanym własnym domu, otoczonego zielenią i chmurą gołębi, które są pasją gospodarza. Józef Krupa jest dumny z swoich synów. Jarosław, uczeń III klasy ZSZ przy PP Nafty i Gazu w Zielonej Górze, jest wybijającym się zawodnikiem Lubtouru. W tym roku zdobył I miejsce w biegach przełajowych na XVII Zielonogórskiej Spartakiadzie Młodzieży. Ryszard jest uczniem Technikum Rolniczego w Lubsku.

Nie trudno jednak dostrzec, że choć wszyscy szanują ojca, autorytetem w domu jest matka — Helena. To jej zawdzięczają, że ten dom jest taki, jaki jest, ciepły i przytulny, że do niego wszyscy ciągną. Są z matki dumni, w tym dniu szczególnie. Wiedzą, że matka cieszy się autorytetem i ludzkim poszanowaniem nie tylko w Zasiakach i w gminie Brody. Złożyły się na to lata jej wyjątkowej pracy także na rzecz innych. Nie oszczędzała siebie. To zostało jej jeszcze z lat Wici-owej działalności. To ona była organizatorką Koła Gospodyń Wiejskich w Zasiakach w 1959 r. Ona też wraz z innymi kobietami zabiegała w tym samym czasie o utworzenie tu Koła Rolniczego, a nie wszyscy byli za tym, mówili, że chce założyć „boiszwie”. Przez wiele lat sekretarzędowała miejscowej POP, była radną GRN i dziś nie składa broni: jest członkiem egzekutywy Komitetu Gminnego w Brodach. Trudno byłoby zliczyć, co się za jej sprawą zmieniło w Zasiakach, bo nie są to już te same Zasiaki, które obejrzała w latach pięćdziesiątych.

Zbliżyły się dożynki. Pani Helena organizowała je po raz pierwszy po wojnie w Zasiakach w 1959 r. I od tego czasu wieniec dożynkowy jest zawsze jej dziełem. Na gminnych dożynkach w Brodach wieniec z Zasiak jest zawsze najpiękniejszy, potwierdza to i sekretarz KG PZPR Stanisław Turowski. W tym roku był również piękny, upieczony ze zboża, które tu nad granicą wyrosło.

WIESŁAW NODZYŃSKI



Na zdjęciu od lewej: Helena Krupowa, wnuczka Joanna i Ewelina, Tadeusz Krupa, Krystyna Wilkowiecka.

Fot. KRZYSZTOF MEZYŃSKI

Wieniec dożynkowy

Staligradzie. Udało mu się zmienić gospodarza, w tym samym powiecie Sztemberga. Tu już było luźniej. Ktoś niedługo spotkał Helenę. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Dostali nawet przepustkę na ślub w Marchocicach.

Co to był za ślub, wojenny. Ale u siebie w domu. Owocem ich miłości był syn Józef, który poznawał świat i uczył się chodzić w Sudetach. To zasługa pani Heleny, że udało się jej w tych trudnych warunkach go przechować. Przecież nadal była wojna i na pierwszym planie robota u bauera. Ale doczekali wyzwolenia.

Była wielka radość, zachwycenie się wolnością. Wyprostowali karki. Pierwsza myśl — trzeba wracać do domu. Wrócili drogą na Racibórz. Tydzień trwała ta podróż, po gospodarstwu, furmanką.

W Marchocicach dostali z podworskiej parę mórg ziemi. Ale to nie była perspektywa. Śląsk wołał o ręce do pracy. Węgł — to było wtedy czarne złoto.

Tadeusz Krupa został górnikiem, rębaczem przedwojennym na kopalni „Karol” w Hebiu. Był jeszcze młody i silny, przynosił pani Helenie 4-5 tysięcy miesięcznie. Rodzili się następne dzieci. I właśnie te dzieci nie chciały się na Śląsku dobrze chować.

W Zasiakach była już rodzina, siostra, szwagrowie. Do nich pani Helena jeździła z dziećmi, było ich już pięć, na coraz dłuższe wakacje. Tu powietrze było zdrowe, zielono, wokół lasy i łąki.

Wreszcie zdecydowała — zostaje. Po wiedziała Tadeuszowi — „w malowanej klatce ptaszek zdycha”. Znalazła

szy, czego do dzisiaj pani Helena nie chce mu darować. „To była robota jak w Kanadzie”. Wykarczowali 5 ha ugorów.

— Nie wierzy pan, redaktorze, jaki ja byłem głodny własnej ziemi, bo na cudzej napracowałem się dosyć. I kiedy już ją miałem, dziękowałem Polsce Ludowej, która mi ją dała. Chłopa, który tę ziemię czuje, do roboty nie trzeba napędzać. To też po kilku latach miałem sześć, a później jedenaście hektarów gruntu pod uprawę nie licząc łąk i pastwisk. Początkowo miałem konia, wóz, plug i brony. A dziś w gospodarstwie są najpotrzebniejsze maszyny i traktor. Kiedyś starzy rolnicy mówili, że przed im włosy na dłoniach urosną, jeśli ja do czegoś dojdę. A z tej mojej nienajlepszej ziemi miałem 38-40 kwintali zboża z hektara, kiedy inni z trudem osiągnęli 25. 15 krow dojnych w najlepszym okresie dawało po 200 litrów mleka. Były dyplomy, wyróżnienia. Mówię o tym w czasie przeszłym, bo już jestem na rencie, chociaż się nie poddaję. Ważne, że są następcy.

Tadeusz Krupa pokazuje na najmłodszą córkę Krystynę i jej męża Benona Wilkowieckiego, syna leśniczego, też z Zasiak.

Młodzi mieszkają z rodzicami, starają się podtrzymać najlepsze tradycje gospodarstwa ojca. Wyrazem jednak ich aspiracji jest już prawie gotowy murek wany dom, który stoi obok ojcowskiej chałupy. W przyszłym roku już się tam chyba przeprowadzą. Dwie wnuczki, Joanna i Ewelina Wilkowieckie, ulubienice dziadków chodzą do miejscowej szkoły. Trzech synów i jeszcze jedna córka — wszyscy już mają własne rodziny — też mieszka w Zasiakach,

PRZECIW MARAZMOWI

Kryzysowe lata nie sprzyjają życiu kulturalnemu, szczególnie w małych miejscowościach i na wsi. Świadomość istniejących niedostatków i ograniczeń rodzi frustrację i marazm, dezintegruje ludzi niegdyś aktywnych.

Ale jak długo można tak żyć, powielając jałowe dni? Takie pytanie postawiła sobie grupa ludzi, z inicjatywy których w ub. miesiącu w Brodach zwołano Gminny Sejmik Kultury i powołano do życia Brodzkie Towarzystwo Kultury. Jak gdyby na przekór tym, którzy negują sens takich inicjatyw.

Już od dłuższego czasu przygotowywano tu grunt pod te wydarzenia, nie bez przychylności ludzi z LTK, Lubskiego Towarzystwa Kultury, Biblioteki w Lubsku, Komitetu Gminnego partii, Urzędu Gminy w Brodach.

Było o czym mówić na Sejmiku. Bilansowano to, co już zrobiono. Nagrodę dyrektora Wydziału Kultury UW za

opiekę nad zabytkami otrzymał Bogusław Smigielski. A Brody, to nie tylko ruiny pobróżhowskiego pałacu. Jest tu zabytków sporo w całej gminie, interesującą mowę o tym Lucjan Grzeja. Uruchomiono nowy klub wiejski w Grodziszczu. Zorganizowano wystawę miejscowych twórców ludowych — rzeźby Stanisława Rybińskiego i pięknych haftów — dzieła kobiet wiejskich. Były spotkania z pisarzami (Alfred Siatecki podpisał tu 54 swoje książki) i z ciekawymi ludźmi. Udały się zorganizowane z rozmachem „Dni Prasy Ludowej”, podobnie „Turniej klubów wiejskich”. Dobrze wypadły gminne dożynki.

Więc jednak można, jest sens takiego działania? Nikt tego nie negował, ludzie słuchali sprawozdania z satysfakcją. Na tej podstawie można było kontynuować program działania Towarzystwa, które znalazło licznych zwolenników. BTK chce inspirować, zachęcać

nieprzeciętnych do działania, „promować ich dorobek twórczy i — jak powiedział prezes LTK Julian Dobosz — gruntować przywiązanie ludzi, zwłaszcza młodych, do swej miejscowości. A także organizować opinie społeczną i jej poparcie na rzecz spraw nie tylko dla kultury w Brodach ważnych, chociażby w dziedzinie ochrony środowiska naturalnego (jezioro i park ulegają postępującej degradacji) tworzenia niezbędnej bazy materialnej dla życia publicznego. Miejsowa szkoła nie ma dotychczas sali gimnastycznej, choć rozwiązano już sprawę mieszkań dla nauczycieli. Sejmik odbywał się w ciśnień salce nad remizą strażacką. W Brodach jest budynek, który po adaptacji można by przekształcić w dom kultury (z salą gimnastyczną), ale na razie nie ma się w nim bar Gminnej Spółdzielni. Gdyby znaleźć inne lokum dla baru... to także postulat Sejmiku.

Na czele Brodzkiego Towarzystwa Kultury stanęli: Stanisław Turowski, Bogusław Smigielski, Ewa Miśnik i Małgorzata Staniak.

W. N.



BTK chce inspirować, zachęcać do działania

Fot. K. MEZYŃSKI

Kto ma wypić to piwo?

Ciąg dalszy ze str. 3

ją rację, dachy przeciekają, ale oni chcą zbyt wiele. Nie wyobrażam sobie przekładania dachów. To by trzeba robić metodą szwedzką pod osłoną. Nie podzielać opinii, że nie interesujemy się tą sprawą. Od października, to znać czy odkąd tu jestem, interesuję się.

Grażyna Utrata mówi: — Wykonawca jest, jaki jest. Sztuka budowlana przedstawia wiele do życzenia. Nie udało się wyegzekwować usterek od wykonawcy. Mieszkańcy podpisali usunięcie usterek więc dalsze naprawy powinni wykonywać sami. W naszej spółdzielni nie ma odpisów na konserwację. To obciąża użytkowników.

Pani Utrata uważa, że mieszkańcy płacą bardzo niewiele opłat czynszowych (miesięcznie 3800 zł czynsz plus około 10 tys. zł. spłata kredytu z odsetkami) i nie powinni wymagać zbyt wiele.

Wychodząc z biura spółdzielni, przyznała w duchu rację mieszkańcom. Oplacali przez nich pracownicy nie są do swych pracodawców usposobieni przychylnie.

Dyrektor „Polsportu” inż. Włodzimierz Papier: — Usunęliśmy usterek, co potwierdza protokół. Nie wiem dlaczego prawie wszyscy wystąpili o ekspertyzę. Może liczą na jakieś rekompensaty? Wyników ekspertyzy oficjalnie nie znam. Nie mam na nią piśmie. Gdybyśmy wiedzieli, o jakie wady chodzi, zwrócilibyśmy się do producenta dachówki.

Pytam dyrektora Papiera, jak ocenia współpracę ze spółdzielnią, czy obie firmy muszą w oczywistej sprawie uprawiać pisaninę, skoro wszyscy się znają, a „Polsport” od biura spółdzielni dziełi zaledwie kilka kilometrów.

— Od początku układ był dziwny i niecodzienny. „Polsport” był projektantem, sporządzał dokumentację, był wykonawcą, a jednocześnie sprawował nadzór. To nie był dobry układ, ale taki był.

Wszystko zamykało się w jednym kołoku. Nadzór należał do obowiązków inwestora sprawowali pracownicy „Polsportu” zaangażowani przez Spółdzielnię. Ci sami robili i potem to kontrolowali. Wykonawca nie mógł mieć pretekstu do projektanta, nadzorującego do wykonawcy.

Dyrektor Papier uważa, że sprawa dachów jest przesadzona. Mieszkańcy chcą zareklamować dachówkę w całości. Na ich miejscu dyrektor nie robiłby sobie nadziei, bo polska norma dopuszcza jakieś odchyłki.

Dwuznaczna w całej sprawie jest rola inż. Zbigniewa Kobiałki. Z jednej strony powinien bezkompromisowo bronić interesu członków spółdzielni, gdyż pełni obowiązki przewodniczącego Rady Nadzorczej, a na dodatek mieszka na tym osiedlu. Z drugiej strony, jak twierdzi, powinien być lojalny wobec „Polsportu”, gdyż w momencie budowy pracował w tym przedsiębiorstwie, należał

do inicjatorów budowy, był współautorem projektu, a na dodatek inspektorem nadzoru.

Pan Kobiałka nie podpisał zbiorowego pisma lokatorów, bo jego dach nie cieknie. Nie cieknie dlatego, że od początku żył w tym domu, naprawiał sam. Dobrze się stało, że ludzie walczyli o dach, ale oprócz pisania, mogli na własną rękę naprawić i przedstawić rachunek spółdzielni.

Otóż nie mogli. Próby takie mieszkańcy podejmowali, ale spółdzielnia skutecznie je torpedowała.

Przewodniczący Rady Nadzorczej powinien patrzeć wyżej niż sięga jego własny dach.

Zbigniew Kobiałka mówi, że nie pchał się do Rady Nadzorczej. On i czterej inni mieszkańcy osiedla zostali wybrani, bo nie dopisali kandydaci z innych osiedli. Potem kolejno poprzedni przewodniczący i jego zastępcy ustąpiłi. Ktoś to musiał dalej ciągnąć.

— Walka o dachy jest słuszną — mówi inż. Zbigniew Proć — były pracownik „Polsportu” — mieszkańiec osiedla. Jeden z inspektorów nadzoru, Przecieków nie da się ukryć. Dachówka jest złuszczoła. Zaczęła się łuszczyć, jak tylko zamie szalał. Ale są usterek, które można było usunąć we własnym zakresie. Na przykład sprawdzić, czy rynna przypadkiem nie jest źle osadzona i poprawić.

Trzeba pamiętać, jakie były kłopoty z tą budową. Każda decyzja polegała na kompromisie. Nie zawsze można było kupić materiał najlepszy. Okazało się, że dachówki mają wadę ukrytą. „Polsport” nigdy wcześniej nie budował domków. Na budowie była ogromna rotacja kadry. Jeśli zwróciło się uwagę dekarzom za niedoróbki, zwiłali interes i miesiąc trzeba było czekać na następnych. Oczywiście inspektorzy nadzoru mogli jednym wpisem wstrzymać tę budowę, ale czy o to chodziło? Coś za coś — taka była cena tej budowy.

Każdy z nas ma jakiś udział w tym dziele. Jeśli jest zrobione źle, trzeba do chodzić rano, ale nie można do końca wypruć zyl z „Polsportu”, który ma kłopoty, bo z wykonawstwa podchodził li ludzie. Jeden temat jest czysty. — mówi na zakończenie pan Proć — ukryte wady w dachówce.

Sęk w tym, że do wykrycia wady dachówek tak naprawdę nie chciał do tej pory przyłożyć ręki ani inwestor, ani wykonawca. Mieszkańcy musieli zrobić to na własną rękę.

Na własną rękę usunęli także dzielniki innych usterek mniejszych i większych, podobnie jak pan Kobiałka na prawili też swoje dachy, nie stać ich jednak na to, by wymienili całe pokrycie dachu.

Na dachach ślicznych domków zbiera się w czasie deszczu woda przypominająca zepsute piwo. W mieszkaniach na mokrych ścianach lada moment zacznie wyrastać grzyb. Ani „Polsport” ani spółdzielnia nie chcą piwa, które współ nie nawarzyli. Nie chcą jeść śmierdzącego grzyba. Dlatego to podejrzane dane mają jeść mieszkańcy?

LUCYNA GRABOWSKA

Wiersz o świetle

Dla Michała Kaziowa

Nie dłońmi nie oczami przyjąłeś ale całując
Ciemny ochryply trucht ściśniętych liter
By podnieść na wargi zgubione światło ziemi
I widzieć biegnących w zbiegowisko krwi
Co nawet ślepcowi nie spojrzą w oczy
Bezrękiemu nie podadzą ręki

Więc trzeba nie mieć oczu i rąk
Żeby dźwignąć siebie zdeptanego jak chleb
O ciemność się potykać i jaśniej widzieć
Upadać codziennie by mocy doświadczyć
W tej przerebli życia która ostro
Prawdę chluzuje w twarz

I to wszystko żeby pamiętać wysoką topolę
Rzeczkę kąpiącą kresowe obłoki lzy matki
Która głaszcze twarz syna szorstką dłonią
Myje twarz ręką dzieciństwa modlitwą
Chropowa ręka matki która daje jeść
Jedyna ręka która potrafi dać oczy

Dla Czesława Dutki

Sni się nam Europa nowych miast i dróg
Nieboskłonu uśmiechu i fantazji
Nie zimny Paryż ale tkliwy Rzym
Braterstwa i chleba jedynego i wybaczenia win
Gdzie północ gorzka gdzie południe trzeba jechać
Powszedniości pojąć zwykły trud i rym
Tyle świata wnieść by nie gubić człowieka
W jego kamiennym trwaniu aż przejdzie ciosu upał
Miłość piosenka dzień się zaczyna jakby kobieta szła
Wiedząc że każdy spłót jej włosów uwznieśli poeta
A tu śnieg i na oknach szron jakie serca trwanie
By życiem nie był nazwany życia zgon
Sni się nam Europa otwieranie żelaznych bram
I horyzont dnia jaki ogromny i ból się rozwiewa

U Stefana Słockiego siedzieliśmy pod wieczór
I był sens życia zwyczajny przywieziony z kresów
Refleksy światła przenikały przez ściany
(Nie nie jest wyjaśnione nagle słychać dzwony
Nieistniejącego już kościoła)
Euzebiusz dowcipkował jak to on — Euzebiusz
Znawca kobiet farb obrazów i muzyki
Piesek mały położył się Tytusowi na kolanach
(Jeden wielki obłok życia i dbałość o każdy gest
Prostota grudki ziemi która nas powala)
Niskie lato kwitło w słonecznikach za oknem
Na stoliku były kwiaty ciastka herbata i wino
Ela milczała na krześle patrząc z obrazu
Czernią włosów czerwienią sukni bielą twarzy
I to pole margaretek kwitnące w nieskończoność
I to niskie lato przenikające przez ściany

Pani Teresie Gierko

Ze jest wiara choć się wszystko utraci
I tkliwość jedynie kropkę wody nam ocala
Mało w nas tak prostej wiary która znaczy
Ze się życie po to traci by żyć
Ze jest nadzieja a zwłaszcza smutek nadziei
Przyrzeczony w doznaniu ciosu i udręki
Obronca nasz ostatni ten najmniejszy
Z mocą przeistoczenia chleba i wina
Ze jest miłość i jest jej ból i głód
Wielkość patrzenia człowiekowi w oczy
I w tym spojrzeniu nie jest czarny
Ani dom ani obłok ani twój prześladowca

Historię, której tutaj nie opiszę, opowiedział mi pan Józef Sorokaty. Tak długo go wyprytawałem, aż zauważyłem, że z drżeniem, z przedziwną jasnością widzi gdzieś w powietrzu siebie i swojego kolegi, pada deszcz. To była ta chwila, której obraz chciałem stworzyć na kartkach papieru. Patrzyłem.

Mam w swoich zbiorach fotografię Tadeusza Karwackiego, którego czyn wzbudził podziw nawet Amerykanów i Anglików.

Nie opiszę tej historii starzy żołnierze 2 Korpusu Polskiego. Nie opiszę tej historii ludzie, którzy, pędzeni, upadli na drodze i zostali zastrzeleni przez strażników. Nie opiszę tej historii zamrożone dzieci wyrzucane z wagonów.

Żołnierze patrzyli mi w oczy. Widziałem ekshumację ich prochów.

Wojciech Czerniawski

BWA

VIRTUTI

opowiadanie

W moich zbiorach znajduje się fotografia przedstawiająca pana Antoniego Ciszewicza, żołnierza, który walczył pod Monte Cassino. Młody, uśmiechnięty, idzie ulicą Rzymu. Kilka lat wcześniej budował baraki w lesie pod Smoleńskiem.

Czasem Rzym widzi się jasno. I carryery jeszcze płyną. Ulicami Ankon, Bolonii, idą polscy żołnierze. Ulice Londynu pachną po deszczu. Adriatyk niebieski w oddali.

Ponad dziesięć tysięcy umarłych żołnierzy, kobiet, dzieci. Cmentarz Lechistanu w Persji.

Wśród żołnierzy na pierwszej linii frontu, wśród generałów, prezydentów, ze śmiechem głośnym biegła dziewczynka. To ona przypięła Tadeuszowi Karwackiemu Krzyż Wirtuti Militari, Medal Za Wojnę i Gwiazdę Italii. To ona sprawiała, że starym kobietom snili się synowie, którzy nie wrócili z wojny.

Ale to ma być opowiadanie o ludziach, którzy wrócili z wojny.

— Służyłem w 8 kompanii zaopatrzenia, dalekobieżnej, jako kierowca. Ja, proszę pana, poszedł na linię, do piechoty zmotywowanej, nazywano nas „piloty”, to byli łącznicy między dowództwem a frontem. Talerz... Na motorze jechałem, zakręci, wracałem, i do leja, do dzisiaj jestem kaleką, prostup i rękę. Drugi raz Niemcy mnie przesiekli też na motorze, dopiero tu w Szprotawie doktor Trojan mi wyciągał. Jechałem na samochodach amerykańskich i angielskich. Samochody ciężarowe, dodatek, trzydziestki Gaziki, te małe. Fordy. No i wozy hinduskie... Jechałem też na carryerach, były bardzo zwrotne, dwa moździerze, ja tam nie byłem na nich długo, byłem około dwóch miesięcy.

— Niemcy bombardowali szpital na tyłach, pod namiotami.

— Jechaliśmy przez pustynię, tam było gorąco, a potem wjechaliśmy w góry, tam dzieci śniegiem rzucali, a my w tropikalnym ubraniu...

— Myszmy jechali na taką górę z amunicją, ja na dodatek z amunicją, tu przepaść, po lewej, ja jechałem z dowódcą, kapitanem Kosztanowskim, carryer idą, trzask i spadli na ten zagajnik, spalili się... Carrier i dwóch Hindusów...

W Tockole widział generała Sikorskiego, w zimę, cztery metry od siebie. Generał Andersa widział, jak było wręczenie sztandaru. Churchill gazikiem podjeżdżał na front kilkanaście razy we Włoszech, w białym kapeluszu, parasol, cygaro.

— My mówili, kiedy my zobaczymy, żeby on bez cygaro... Generał Maczka widział.

— W czasie akcji, było dowództwo, Anglicy, taka była dolina, bunkry nawet tam tego.

— W Jerozolimie byłem w grocie Matki Boskiej. We wszystkich kościołach byłem. I tam, gdzie schody bardzo długie, gdzie stopa Chrystusa pozostała. Przejeżdżałem przez Dolinę Jozefata.

— Dwadzieścia cztery kuracje malaryczne przeszedłem, dużą dawkę chininy organizm wchłonił.

— Jeszcze nikomu o tym zdarzeniu nie mówiłem. Wypuszczają wozy z amunicją, co parę minut. Jest wioska pod frontem, to jest kawałek przejazdu na równinie, na liczniku mam osiemdziesiąt. W schronach Włosi. Dwoje dzieci przebiegło przez drogę, skręciłem w lewo, wleciałem do rowu,

zatrzymałem się na drzwiach stodoły, pogięłem maskę. Wojna się skończyła, nasz pluton zaparkował, to było jakieś święto, przyjeżdża dwoje ludzi, szukają takiego numeru samochodu, nikt nie wie, gdzie, cywili, młodzi, pokazali mój numer samochodu, przychodzi służbowy, do kancelarii, czy ja pamiętam, to nasze dzieci były. To było już po wojnie, wiosna czterdziestego piątego, sześćdziesiąt mil od miejsca, gdzie zdarzył się wypadek. Czy to było Menatry, to się tu wozilo...

Wielu kolegów pana Sorokatego zginęło. Orczyk odrzucił granat, i wtedy koło niego upadł drugi granat. Zbyszek Tar-nawski najechał carryerem na minę, jego ojciec zmarł w Husiatynie za Sovietów, matka z córką była w Turcji, matka zwariowała, córka chyba wyszła za mąż, bo miała tam narzeczonego. O Tadeuszu Karwackim, którego mundur koloru khaki ozdobiły odznaczenia polskie, brytyjskie i włoskie, od wojny nie miał żadnych wiadomości.

Opowiedział mi te wszystkie zdarzenia na wsi, na uboczu wielkiego świata, wśród wozów z sianem, wśród krów, koni. Te wszystkie zdarzenia czymś są, muszą mieć jakiś sens, przecież nie na darmo ginęli żołnierze.

To wtedy widział wielkich ludzi tego świata, którzy przyjeżdżali na front i rozmawiali ze zwykłymi ludźmi. Wtedy zwykli ludzie byli potrzebni, polscy żołnierze byli potrzebni. Po wojnie Anglicy chcieli się Polaków pozbyć, i Churchill już nie przyjeżdżał w gaziku, z białym parasolem.

Żołnierze nie wiedzieli, dlaczego Churchill tak często przyjeżdżał na front. Istniał niejaki jego prywatny oddział spadochroniarzy, którzy poszukiwali walizki z listami pisanymi przez Churchilla do Mussoliniego. W tych listach Churchill z podziwem pisał o faszyzmie. Rozstrzelanie Mussoliniego przez partyzantów i odnalezienie walizki z listami było dla Churchilla sukcesem ważniejszym niż zdobycie Monte Cassino czy Bolonii.

Amerykanin. Podróż do Włoch. Dziewczyna, którą spotkał w czasie wojny. Odzywają wspomnienia.

Ani pan Sorokaty, ani pan Ciszewicz, nie pojadą do Włoch. Są starzy, schorowani. Nie mają dostępu do ksiąg historycznych.

Oni nie zobaczą już nigdy dziewczyn, które poznali we Włoszech. O jednym z nich przez wiele lat pamiętała „Pestka”, mieszkająca w Belgii, przysyłała paczki.

Czasem, przez moment, widzą dziewczynę, biegnie, słyszą jej śmiech, gdzieś blisko.

Przed nimi Widmo. Przed nimi Bolonia.

Cóż mogę napisać o bohaterze historii, której tutaj nie opiszę. Poszukiwanie informacji dotyczących II wojny światowej trwa wiele lat i jest bardzo kosztowne. Aby napisać książkę historyczną, trzeba prowadzić poszukiwania przede wszystkim w archiwach wojskowych i prywatnych w USA. Nieznane dokumenty, rękopisy, fotografie, filmy, dotyczące losu Polaków, polskich Żydów, Powstania Warszawskiego, pojawiają się w USA. Tam tego rodzaju materiały osiągały najwyższe ceny.

Kolekcjonerzy poszukujący hełmów na polach bitew na Wale Pomorskim i gdzie indziej, natrafiają na zwłoki żołnierzy polskich przyspanych warstwą piasku w okopach, rowach. Pewien kolekcjoner z Koszalina kilka lat temu znalazł w lesie leżący na ziemi szkielet polskiego żołnierza. Gałęzie krzewów wydzignęły wysoko w górę hełm. Dokumenty były jeszcze czytelne. Czaszkę z kulą w środku ów kolekcjoner przechowuje w domu, jakby poległy żołnierz nie miał prawa do spoczynku w grobie. Nie znamy miejsca spoczynku setek, jeżeli nie tysięcy żołnierzy i oficerów polskich. Nikt ich nie poszukiwał, nikt nie zbierał materiałów do książki o nich. Nikt nie składał kwiatów na ich grobach. I jak tu zbierać informacje o żołnierzu, którego kości od czterdziestu dwóch lat leżą na ziemi w lesie.

No tak, ale to zdaje się ma być opowiadanie o ludziach, którzy wrócili z wojny.

Nikt nie zbiera materiałów do książki o tych, których skazano na cichą zagładę, wpełniono przemocą w nędzę, aby ich dzieci umarły, z zemsty za skarczenie się na niesprawiedliwość, bandytyzm prowincjonalnych klik. Nikt nie zbiera materiałów do książki o ludziach organizujących kampanie zniesławiania ludzi niewygodnych, o prywatnych komórkach oszczerstw i dezinformacji.

W moich zbiorach znajduje się prawo jazdy, które pan Józef Sorokaty miał w kieszeni swojego munduru w grocie Matki Boskiej i na drodze pod Bolonią.

Wśród mętów z marginesu w eleganckich ubraniach można poruszać się tylko z prawem jazdy ze stemplami Armii Polskiej na Wschodzie, z fotografią Rzymu.

Ja, który ocalałem z zagłady, ze wzruszeniem patrzyłem na ludzi, którzy szanowali wszelkie życie.

Pan Józef Sorokaty ma osiemdziesiąt dwa lata. Ocalił życie dwojga dzieci. Czasem widzi te dzieci, jak idą drogą przez wieś. Dziewczynka trzymająca za rączkę młodszego braciśzka.

Pewnego razu dziewczynka podeszła do mnie.

— Cześć — powiedziała.

Analiza uśmiechu dziewczynki wykonana przy pomocy aparatów do badania przestrzeni kosmicznej wykazała, że nastąpiło wydławanie olbrzymiej energii w ciągu ułamka sekundy.

— Napisz opowiadanie o historii, której nie opiszesz — powiedziała dziewczynka.

ŚLADY
PO PRZELOCIE

Feliks Fornalczyk zakończył swój przełot w czasie i przestrzeni. Zagłębiał z urodzenia, co zawsze podkreślał. Poznaniak z wyboru, był literatem, krytykiem literackim, historykiem literatury, działaczem kulturalnym, aktywistą partyjnym. Ostatnio jako członek Prezydium Zarządu Głównego ZLP pełnił niezwykle pracochłonną funkcję — przez wodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej. Jego droga w przestrzeni prowadziła od Łysej Góry pod Zawierciem poprzez Kraków, gdzie studiował filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim, Szczecin, do którego przyjechał „późną jesienią 1952 roku, aby objąć kierownictwo literackie rozgłośni radiowej”, jak napisał w jednym ze swych szkiców. Ostatnią, najdłuższą stacją na tej drodze był Poznań. Zanim po ciężkiej chorobie przeszedł na rentę, pracował tu przez wiele lat w miejscowej Rozgłośni. Za pół roku obchodziłby swoje sześćdziesiąteurodziny.

W dniu, w którym zmarł w Mieście pod Poznaniem, chcieliśmy go gościć w Zielonej Górze i Zarach, by na spotkaniu z młodzieżą mówił o lubuskim środowisku literackim. Czuł się nienajlepiej, przepraszał, że nie przyjedzie, dość daleko, a ponadto w tym czasie zapraszano go także do pobliskich Miejsk, do biblioteki... Odłożyliśmy wszystko do wiosny. Feliks w ostatnich miesiącach gasł w oczach, ale chyba nikt nie przypuszczał, że są to jego ostatnie dni.

Pracował jak zawsze bardzo intensywnie, pisał, czytał, uczestniczył w imprezach literackich, w pracach Zarządu Głównego ZLP. Zmarł, dosłownie, w pracy, w czasie wykonywania swojego zawodu krytyka.

Feliks Fornalczyk był przede wszystkim krytykiem literackim. W tej dziedzinie jego osiągnięcia twórcze i zasługi są największe. Wysoko cenił tak zwany „nurt wiejski” w naszej literaturze. Dał temu wyraz w książce „Przy pisaniu tej ziemi”, w której omówił twórczość niektórych pisarzy wywodzących się ze wsi i o wsi piszących. Myślę jednak, że Feliks Fornalczyk najbardziej „przypisał się” do tematu zachodniego w naszej literaturze, tematu, sądzę, wciąż czekającego na swego wielkiego pisarza. Pisał o tej literaturze, o pisarzach zamieszkałych na ziemiach zachodnich wielokrotnie, także na łamach „Nadodrze”. I z właściwą mu znajomością rzeczy. Trudno dzisiaj powiedzieć coś o twórczości wielu pisarzy, bez lektury tekstów Fornalczyka. Także zielonogórskie środowisko literackie zawdzięcza Feliksowi Fornalczykowi wiele. Był uważnym czytelnikiem wszystkich naszych książek. Pierwszy u nas zwrócił uwagę na formowanie się na Ziemi Lubuskiej środowiska literackiego. W swej debiutanckiej książce „Znaki życia”, pierwszej publikacji o literaturze polski północno-zachodniej, wydanej w 1961 r. przez Wydawnictwo Poznańskie,

jeden ze szkiców poświęcił także autorom zielonogórskim, przede wszystkim poetom, bo oni wówczas w tym środowisku dominowali.

„Zielona Góra — pisał — to nie tylko miasto karnawału winiarskiego i ciekawych inicjatyw społecznych ruchu kulturalnego, ale także osada poetów. Poetów różnego formatu i różnych zapowiedzi na przyszłość.”

Towarzyszył nam do końca swoich dni. Przez wiele lat współpracował z Lubuskim Towarzystwem Kultury, pisząc tak zwane recenzje wewnętrzne książek przygotowywanych do druku przez Towarzystwo, napisał obszerny wstęp do zbioru Włodzimierza Korsaka pt. „Las mi powiedział”, wydane go przez LTK, uczestniczył wraz z Wojciechem Zukrowskim w spotkaniach zorganizowanych z okazji 25-lecia zielonogórskiego oddziału ZLP, jedną z jego ostatnich prac była zamieszczona w „Nadodrze” recenzja z najnowszej książki Alfreda Siateckiego. Projektował napisanie obszernego szkicu o zielonogórskim środowisku literackim, żeby odpowiedzieć na pytanie, które przed czterema wiekami postawił w „Znakach życia”.

Feliks Fornalczyk należał do tych krytyków, którzy w książkach szukają miejsc ważkich literacko, a nie tylko samych mielizn. Doradzał, suponował, podpowiadał, a nie beszał i kpił. Był życzliwy, co mu często wypominano, prawdziwie cieszył się z literackich osiągnięć kolegów, co w środowisku literackim należy do rzadkości. Z jego nagłym odejściem nasze życie literackie znacznie przysiało. Teraz już tylko będziemy czekać na powtórne wydanie najlepszych szkiców Feliksa Fornalczyka: najtrwalszych śladów po jego przełocie.

JANUSZ KONIUSZ

Wspaniale potraktowała małego Japończyka, który był naszym ulubionym lokatorem. Nazywał się Tori Takekuczi i był rozkoszny, pełen wdzięku, książęcy i drobny. Natychmiast zrozumiał sytuację, mimo, że słabo znał język. Będąc Japończykiem nie miał trudności z promiennym uśmiechem pod adresem Melanii, kiedy ta stawała pod jego drzwiami i terkotała jak oszalała koza. Tak samo uśmiechał się do nas, nawet jeśli go zawiadamialiśmy o potwornym nieszcześciu. Sądzę, że obdarzyłby mnie takim samym uśmiechem, gdybym mu powiedział, że za parę minut umrę. Oczywiście Melania wiedziała, że ludzie wschodu uśmiechają się w taki nieprzenikniony sposób, ale sądziła, że uśmiech pana T. (zawsze nazywała go „panem T”) był szczególnie ujmujący. Według niej był jak laleczka. Taki czysty i schludny w dodatku! Nigdy nie zostawił po sobie ani odrobiny brudu.

Kiedy się lepiej poznaliśmy, a muszę przyznać, że po miesiacu czy dwóch znaliśmy się dobrze, pan T. zaczął sprowadzać dziewczyny do swego pokoju. Naturalnie uprzednio dyskretnie wziął mnie na bok i zapytał, czy wolno mu od czasu do czasu zaprosić młodą damę pod ułotny pretekstem (szeroki uśmiech) spraw zawodowych. Skorzystałem z tego pretekstu, żeby skłonić Maude do wyrażenia zgody. Powiedziałem, że maluch jest taki nieatrakcyjny, iż tylko sprawy zawodowe mogą skłonić ładną Amerykankę do odwiedzin w jego pokoju. Maude zgodziła się niechętnie, rozdarta między pragnieniem utrzymania pozorów wobec sąsiadów i obawą, że utraci hojnego lokatora, którego pieniądze były nam potrzebne.

Nie było mnie w domu, kiedy pierwsza taka osoba przekroczyła nasze progi, ale usłyszałem o niej następnego dnia — dowiedziałem się, że była nader czarująca. To Melania się wygadała. Była zachwycona, że znalazł sobie małą przyjaciółkę — taką jak on.

— Ale to nie przyjaciółeczka — wtrąciła sztywno Maude.

— Może... przeciągle stwierdziła Melania — może to tylko sprawy zawodowe... ale była nader czarująca. Musi mieć dziewczynę, jak wszyscy.

W parę tygodni później pan T. znalazł inną dziewczynę. Ta nie była czarująca. Była o głowę odeń wyższa, zbudowana jak pantera i najwyraźniej nie poruszał spraw zawodowych.

Następnego dnia rano pogratulowałem mu przy śniadaniu pytając wprost, gdzie pojechał taką oszałamiającą piękność.

— Damsing — odpowiedział pan T., obnażając żółte kły, jak najuprzejmiej, a potem zanosząc się dziewczęcym chichotem.

— Bardzo inteligentna, co? — dopytywałem się dla podtrzymania rozmowy.

— O tak, jej inteligentna, jej bardzo dobra dziewczyna.

— Uważaj, żeby ci nie przyniosła syfa — powiedziałam uprzejmie, popijając kawę.

Maude omal nie spadła z krzesła. Jak można tak mówić do pana T. To obraźliwe i niesmaczne, żebyś to sobie zapamiętał.

Pan T. był zakłopotany. Nie nauczył się jeszcze słowa „syf”. Oczywiście uśmiechał się, czemu nie? Głównie go obchodziło, co sobie mówimy, byle mógł robić to, na co miał ochotę.

Uprzejmie podsunąłem definicję. To ból głowy, wyjaśniłem.

Zarechotał. Bardzo dobry dowcip. Tak, rozumie. Nic nie rozumiał, mały chujek, ale uprzejmie pozwoliłem mu tak uważać. Potem też się rozmyślałem, szeroko, na co pan T. zachichotał, obnażył palce w dzbanku z wodą, beknął i rzucił na ziemię swoją serwetkę.

Muszę przyznać, że pan T. miał dobry gust. Najwyraźniej był też szczodry. Niektóre były takie, że ślinka napływała mi do ust. Nie sądzę, by ich uroda wiele dlań znaczyła — raczej ich waga, dotyk skóry, a nade wszystko czystość. Miał różne — rude, blondynki, brunetki, niskie, wysokie, pulchne, smukłe, jakby je wyciągał z worka. Kupował dupy i tyle. Jednocześnie poduczył się angielskiego („Jak się to mówi?”, „Jak nazywamy tamto?”, „Lubisz cukierki, tak?”). Znał się na prezentach — doprowadził dawanie prezentów do poziomu sztuki. Często, widząc jak zabiera dziewczynę do swego pokoju, wyobrażałem sobie, że chichocze i jąka się jak Japończyk przed numerkiem i myślałem, że właściwie te dziewczyny miały szczęście trafiwszy na pana T., a nie na jakiegoś studenta na balandzie. Byłem też pewien, że pan T. zawsze ma pokrycie dla swoich wydatków („Obróć się teraz”, „Teraz poszły, tak?”). W porównaniu z artystkami w Japonii te nierozgarnięte amerykańskie sukki musiały mu się wydawać żałosne. Przypominałem sobie opisy wizyt w japońskich burdelach, jakimi raczył nas O'Mara. Były jak wizje po opium. Najwyraźniej duży nacisk kładziono na wstępne gry. Muzyka, kadzidło, kąpiele, pieszczoty, pełna orkiestra uwodzenia i oczarowania, po czym ostateczne skonsumowanie musiało być niewiarygodnie elastyczne. — Jak lalaczki — mówił O'Mara. — I takie łagodne, takie kochające. Czarownice. — A potem zachwycał się sztuczkami, jakich go nauczyły. Wyglądało na to, że mają podręcznik, który zaczyna się tam, gdzie nasz się kończy. A wszystko skąpane w delikatności, jak gdyby p... było sztuką duchową, przedśmionkiem nieba.

Pan T. musiał się zadowolić umeblowanym pokojem, w którym chyba tylko kłębki kurzu mogły zastąpić kadzidło. Trudno powiedzieć, czy dobrze się bawił, bo na wszystkie pytania odpowiadał niezmiennie „bardzo dobrze”. Od czasu do czasu, wracając późno, widywałem go jak szedł do łazienki po spotkaniu z amerykańką p... Zawsze szedł w szlamiach pantoflach i w kimono, krótkim kimono, które zaledwie zakrywało mu ch... Maude uważała, że to szkodzi, że nie powinien tak chodzić po mieszkaniu, ale Melania uznała, że pasuje doń jak ulał. — Oni tak chodzą — powiedziała, nie na ten temat nie wiedząc, ale zawsze gotowa brać stronę przeciwnika Maude.

— Dobrze się pan bawił, panie T.? — uśmiechałem się.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze. — I chichotał. Może draapal się po jajach, obnażając zęby w uśmiechu. — Woda gorąca, tak? — W łazience zaczynał swoje nie kończące się ablucje.

Kiedy uważał, że Maude już śpi, kiwał czasem na mnie palcem, co oznaczało, że ma mi coś do pokazania. Szedłem za nim do pokoju.

— Wejść, tak? — mawiał, wystraszywszy tym dziewczynę. — To jest pan Miller, mój przyjaciel... a to panna Smith. — Zawsze nazywały się Smith, Brown albo Jones, jak zauważyłem. Zapewne nie zwracał sobie nawet głowy ich prawdziwymi nazwiskami.

Muszę przyznać, że niektóre były sporej klasy. Często mawiały: — Czarujący, co? — Na co podchodził do dziewczyny tak, jak się podchodzi do towaru na wystawie i unosił sukienkę.

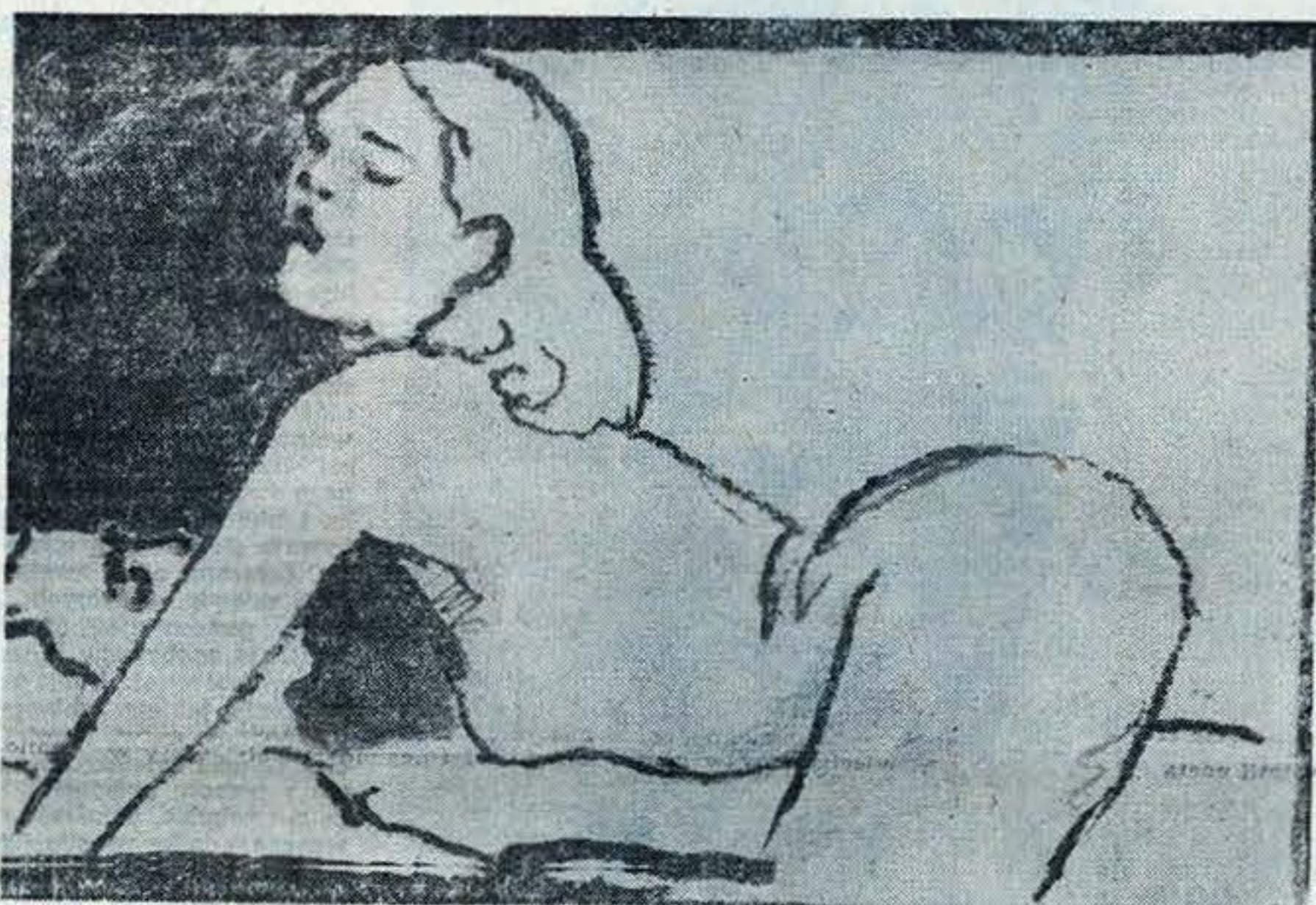
— Jej bardzo ładna, tak? — I dalej obmacywał szparę, jakby miał w niej udział.

— Ty mały diable, tak nie wolno — mówiły wówczas.

— Teraz idź, tak? — w ten sposób pan T. zęgnął się z nimi. Brzmiało to niegrzecznie, bo głos wydobywał się z małego żółtego brzucha. Ale pan T. nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest niedelikatny. Przerznął jak należy, wylizał dupę, zapłacił sówicie i w dodatku dał prezent...

SEXUS

Henry Miller



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

o co jeszcze na miłość boską może chodzić? Teraz idź, tak? i przymknął oczy, przybierając obojętny, drętwy wyraz twarzy, nie pozostawiający w umyśle dziewczyny żadnej wątpliwości, że im szybciej wyjdzie, tym lepiej dla niej.

— Następnym razem ty spróbuj. Jej bardzo mała. — Uśmiechał się i gestykulował, pokazując palcami, jak gładko poszło. — Japonki czasem bardzo duże. A ten kraj duży, dziewczyny małe. Bardzo dobrze. — Oblizywał się po tego typu wypowiedzi. Potem, jak gdyby chcąc wykorzystać okazję do końca, brał wykalczkę i dłużej w zębach, patrzył do notesu na zapisane tam słowa. — To znaczy co? — i pokazywał mi takie słowa, jak „nadwężająca” albo „nieziemska”. A teraz naucz się japońskiego słowa — OHAJOI! znaczący dzień dobry! Szeroki uśmiech. Do tego dłużej w zębach albo oglądał sobie palce u nóg.

— Japoński bardzo prosty. Wszystkie słowa wymawiamy tak samo... — i tu sywał słowami, chichocząc, prawdopodobnie dlatego, że znaczyły „gówniarz”, „biały ch...”, „zagranicznik” itd. Nic mnie nie obchodziło, co one znaczą, bo nie miałem zamiaru studiować japońskiego. Bardziej interesowała mnie jego technika podrywania białych kobiet. Jeśli mu wierzyć, wszystko było proste. Oczywiście, niektóre panienki Japończycy sobie wzajemnie polecali. A z kolei wiele dziewczyn musiało się wyspecjalizować w japończykach, wiedząc, że są czyste i hojne. „Fikam dla Japończyka” oznaczało niezły interes. Mieli klasę. Własne auta, porządne ubrania, dobre restauracje itd. Chinczyk to co innego. Chinoile to biali niewolnicy. Ale Japończykom można było ufać. I tak dalej. Najbardziej ujmowały je prezenty, które dostawały od Japończyków. Doskonale sobie zdawałem sprawę z ich rozumowania. Amerykanie zazwyczaj nie dawali prezentów. Facet musiałby mieć krętką, żeby wyrzucać jeszcze pieniądze na prezent dla kurwy.

Nie wiem, dlaczego myśli doprowadziły mnie do pana T. Na Bronx było daleko, toteż pusiwszy wodze fantazji można napisać książkę między Borough Hall a Tremontem. A ponadto, mimo numerka z Maude, znów czulem, jak powolna, mrowiąca erekcja dosięga mnie w drodze do domu. To banał, ale i prawda, że im więcej p..., tym bardziej chcę p... i tym lepiej p...! Kiedy przesadzisz, kutas staje się bardziej elastyczny, zwisa, ale że tak powiem, czujnie. Wystarczy przejechać ręką po rozporku, a już reaguje. Możesz tak całymi dniami przechadzać się z gumową pałąk dyndającą między nogami. Kobiety też to wyczuwają.

Od czasu do czasu próbowałem skupić uwagę na Monie, utwardzić rysy w wyrazie smutku,

Sceny miłosne w literaturze pięknej

ale nie udawało mi się. Zbyt dobrze się czulem, ale zbyt byłem rozluźniony, beztroski. Może to straszne, ale myślałem już o numerku, jaki z nią strzele, kiedy uda mi się ją uspokoić. Powąchałem palce, żeby się przekonać, czy je porządnie wyszorowałem. Przemknął mi przez głowę niekończący obraz Maude. Zostawiłem ją na podłodze, wyczerpaną, i pobiegłem do łazienki, żeby się doprowadzić do porządku. Kiedy myłem kutasa, otworzyła drzwi. Chciała się wypłukać, zawsze pełna obaw, że wpadnie. Powiedziałem, żeby się myła nie zwracając na mnie uwagi. Wysunęła się z ubrania, ujęła prysznic zdejmując rączkę zostawiając sam wąż, po czym położyła się na podłodze i oparła nogi o ścianę.

— Mam ci pomóc? — pytam osuszając kutasa i posypując go jej doskonałym talkiem.

— A mógłbyś — pyta ona kręcąc dupą, żeby nogi sięgały wyżej.

ko uniosłem jej pupę. — Zrobmy tak dla odmiany — wymruczałem, nie wsadzając natychmiast kutasa, lecz przesuwając go między pośladkami.

— Nie wytrąsiesz, prawda? — prosiła okrzepając szyję i rzucając mi dzięk, błagalne spojrzenie w lustro nad zlewem. — Jestem szeroko otwarta...

To „szerokie otwarcie” wzbudziło we mnie wszystkie żądze. „Ty cholerna suko — powiedziałem sobie — dokładnie tego chciałem. Mam zamiar odlać się w twoje pałacowe łono!” i powoli wszedłem muskając palcami i podszewką jej szeroko rozwartej p..., dopóki nie poczułem wejścia do łona: tam się zaparłem z całej siły, przylutowując się do niej, jak bym miał zostać tak na zawsze. — Och, och — jęczała. — Nie ruszaj się, proszę... tylko tak trzymaj! — Trzymałem, trzymałem, nawet gdy dupa zaczęła się kręcić jak karuzela.

— Utrzymasz? — wymamrotała chrapliwie, znów próbując się odwrócić i spostrzegając się w lustrze.

— Utrzymam — powiedziałem nie ruszając się, wiedząc, że jeśli się poruszę, użyję wszystkich swoich sztuczek.

— Cudownie — powiedziała zwiesiwszy głowę, jakby wypadła z zawiasów. — Wiesz, że jesteś teraz większy? Czy jestem dość ściśnięta dla ciebie? Czuję się okropnie rozwarła.

— W porządku — powiedziałem. — Pasuje jak ulał. Słuchaj, nie ruszaj się. Chwyć go tylko... wiesz jak...

Próbowała, ale coś się zacięło w tym jej wyścisku do cytryn. Nagle wyszarpnąłem go, bez ostrzeżenia. — Połóżmy się... tutaj — powiedziałem odrywając ją i podkładając jej suchy ręcznik pod plecy. Mój kutas polyskiwał soki i był twardy jak słup. Już nie wyglądał jak kutas, wyglądał na coś doczeplonego, na ucieśnienie erekcji. Leżała ulegle, spoglądając nań z przerażeniem i radością, zastanawiając się, co jeszcze wymyśli — jak gdyby on decydował, a nie ona albo ja.

— To okrutne, że tak cię zatrzymuję — powiedziałem, gdy wcisnąłem się gładko. Poślizg zabrzmiął jak kłasnienie, jak mokry pierd.

— Jezus Maria, teraz cię przerznię jak należy. Nie martw się, nie wytrąsę... nie została mi ani jedna kropelka. Ruszaj się jak chcesz... skacz w górę i w dół... o tak, pocieraj go, dalej, różnij, ile wlezie!

— Szszszsz... — szeptała zasłaniając mi usta ręką. Pochyliłem się i wgrzyłem się w jej szyję, długo i głęboko, gryzłem jej uszy, jej wargi. Raz jeszcze wyszarpnąłem się z niej i przez sekundę długą jak nieskończoność gryzłem włosy nad jej p..., po czym chwyciłem jej dwie wargi i zacisnąłem je między zębami.

— Włóż go, włóż go! — błagała pochłaniając mnie ustami, podczas gdy ręką chwyciła mego ch... i włożyła go z powrotem. — O Boże, zaraz wybuchnę, już nie mogę, och, och — i dostała spazmatycznego orgazmu, młotając się o mnie z taką siłą, z takim zatraceniem, że wyglądała jak wściekłe zwierzę. Wyszedłem nie wytryskując, kutas lśnił, błyszczał, prosty jak taran. Powoli podniosła się na równe nogi. Uparła się, że mi go umyje, poklepała go z podziwem, czule jak wypróbowanego przyjaciela. — Musisz już biec — powiedziała trzymając kutasa w obu rękach i susząc go ręcznikiem. A potem odłożywszy ręcznik i nie patrząc na mnie dodała: — Mam nadzieję, że nie jej nie jest. Pozdrów ją ode mnie, dobrze?

Musiałem się uśmiechnąć myśląc o tej improwizacji w ostatniej chwili. „Pozdrów ją...” — to dodatkowe rżnięcie sprawiło, że zlagodniała. Pomyślałem o jednej książce, w której wyczytałem o dziwnych eksperymentach z mięsnożernymi zwierzętami — lwami, tygrysami, panterami. Wyglądało na to, że jak się je dobrze karmi — a nawet przekarmi — można w tych samych klatkach trzymać zwierzęta łagodne, a nigdy nie zostaną napadnięte. Lwy atakują tylko z głodu. Nie są nieustannie gotowe do mordy. Do tego się to sprowadza...

A Maude... nasyciwszy się do woli, prawdopodobnie po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że to bez sensu odczuwać urazę wobec innej kobiety. Może powiedziała sobie, że jeśli zawsze może się tak różnie jak dzisiaj, to nieważne, że inna rości sobie do mnie pretensje. Być może po raz pierwszy w życiu przyszło jej na myśl, że posiadanie jest nieczym, jeśli się nie potrafimy oddawać. Może posunęła się tak daleko, że uznała, iż tak jak jest, jest lepiej — skoro ją ochraniał i rżnął, a nie musi się na mnie złościć żywiąc żądzę zniszczenia. Jeżeli druga zdola mnie utrzymać, jeżeli mnie powstrzyma od ugania się za każdą szmatą, która mi się nawinie, to mogą się mną podzielić, naturalnie w milczącym porozumieniu, bez zażenowania i zamieszania. Może faktycznie tak będzie lepiej; numerki bez obaw o zdradę, numerki z własnym mężem, który jest teraz przyjaciół (a może znów kochankiem), od którego można brać co się chce, przywleczając na życie, nie przeżywać gorące namienne tajemnice, odgrzewać stare sztuczki, poznawać nowe, kraść, ale i nie kraść zarazem, oddawać się z przyjemnością i w zatraceniu, odmładzać, nie tracić niczego poza wiekami konwenansu... tak, tak będzie o wiele lepiej.

(CDN)

(Fragmenty prozy Henry Millera, w przekładzie Sławomira Magali, publikujemy za miesięcznikiem „Literatura na świecie”, nr 5-6 z br.)

NASZE XXX lecie

W maju 1970 r. obradował w Zielonej Górze XIII Zjazd Pisarzy Ziemi Zachodniej i Północnej. Organizatorzy tego ostatniego Zjazdu twórców literatury związanej z tematem zachodnim, będącego jedną z centralnych im preż XXV-lecia PRL, postawili sobie cele ambitne: Zjazd miał bowiem wyrazić swój stosunek nie tylko wobec artystycznego sposobu odzwierciedlania w literaturze pięknej dzieła Polski Ludowej nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, ale też stworzyć okazję do refleksji na temat zgola aktualne, ułatwić bezpośredni kontakt pisarzy z czytelnikami w sposób, który nie byłby czasem straconym. Upoważnienie zaś do tego organizacja właśnie w Zielonej Górze lubuskiej środowisko literackie zyskało dzięki swym znaczącym dokonaniom twórczym, w których „represzentowane są wszystkie zasadnicze gatunki twórczości. Można więc mówić o „normalności” tego środowiska, które przestało być środowiskiem kadłubowym”.

Zjazd, który podobnie jak wszystkie poprzednie (i odbył się w 1958 r. w Dusznikach Zdroju) traktowany był jako impreza, której problematykę literacką ukazuje się w jej rozległym kontekście społecznym, przygotowywano na łamach pisma od dłuższego czasu. Już w marcowym numerze 7 (1970 r.) redakcja rozpoczęła publikację cyklu wypowiedzi pisarzy, krytyków, literaturoznawców, o których Wilhelm Szewczyk pisał, że „zdają sobie oni sprawę z tego, że ich istnienie i praca na tych ziemiach to nie tylko fakty literackie, ale i polityczne”. W numerze tym wypowiedzieli się również: Stanisław Fleszarowa — Muskat, Henryk Worcell, Witold Nawrocki, Marian Piechal, Bogusław Kogut.

Ten numer pisma był także kolejnym numerem jubileuszowym — 200 — co redakcja odnotowała w swym stałym komentarzu aktualnym stwierdzając m.in. — „Nie tak dawno na „szpaltach szczerości” w „Życiu Literackim” Tadeusz Robak powątpiewał w sens powoływania tego typu czasopism w ówrodach regionalnych. Nam kiedyś tak że towarzyszyły podobne wątpliwości — dziś nikt z nas już ich chyba nie ma. dziś można mówić o profilu pisma jako o czymś ugruntowanym, sięgającym swymi tradycjami we wczesną jego młodość, ale uzupełnioną nowymi elementami, posiadającymi istotne walory kulturowe i integrujące, jak chociażby nagroda pisma, konkursy literackie i publicystyczne”.

Było to potwierdzenie nowych i nasilających się tendencji w piśmie usiłujących wprowadzić je choćby częściowo w ogólnopolski obieg wartości i opinii, opartych o koncepcję nowego regionalizmu, będącego odbiciem procesów rozwojowych zachodzących w macierzystym środowisku oraz w kraju.

Kolejny zaś nr 9(202) był już w całości przygotowanym na Zjazd Pisarzy. Publikowali w nim pisarze z całej Polski m.in. Jarosław Iwaszkiewicz, Edmund Osmańczyk. Wyciągając wnioski z opublikowanych dotychczas wypowiedzi redakcja stwierdzała, iż mimo wszelkich niedoskonałości i niedostatków literatura polska wypełniła swoje obowiązki wobec „tematu zachodniego”, który także w literackich formach często gościł na łamach pisma. Temat powrotu i osiedlenia się tu milionów Polaków, zaczyna być już tematem historycznym. Integracja jest sprawą dokonaną, która nie mogła dokonać się na tych ziemiach bez aktywnych rozwijających się środowisk twórczych. Czy będziemy jeszcze wracać do tego tematu? — pytała Fleszarowa Muskat. Wracza się zawsze do tematów wielkich. Nie starzeją się nigdy, nigdy nie tracą aktualności i siły. Bo naród każdej chwili musi być zasilań pamięcią”.

W sprawach tych toczyła się dyskusja na Zjeździe, którą „Nadodrże” relacjonowała w kolejnych numerach. Opublikowano m.in. obszernie fragmenty wygłoszonych referatów: Witolda Nawrockiego — „Temat zachodni — genealogia mitu i problemu” nr 10(203) Władysława Markiewicz — „O kulturze nad Odrą i Bałtykiem” — nr 12(205) oraz wystąpienie Jerzego Lowella na temat reportażu, na które warto zwrócić uwagę. „Obejrzałem się — stwierdził Lowell — że doszło do paradoksalnej sytuacji: dla reportażu polskiego ziemie zachodnie i północne są już co prawda dawno odkryte, lecz ciągle jeszcze nie odkryte. Z czyjej winy?” Na całe szczęście ziemie te, w tym także Ziemia Lubuska dochowały się własnej, niezłej stawki reportażu, która dała się poznać nie tylko na łamach prasy ogólnopolskiej, ale zaowocowała także własnymi książkami i zbiorami reportaży, które cieszyły się dużym zainteresowaniem czytelników.

WIESŁAW NÓDZYSKI

Paul Newman nie lubi tłumów i dziennikarzy. Za to kocha scenę, ekran, szybkie samochody i dobre jedzenie. Jego żona prowadzi na południu Stanów Zjednoczonych ekskluzywną restaurację, gdzie między innymi podaje się znakomity sos musztardowy, specjalność Paula. Inny sos jest sprzedawany w amerykańskich sklepach i ma podobno wielu amatorów. Ale w tajemnicze ni mówią, iż w sprawach kulinarnych lepsza od ojca jest jego córka, autorka kilku udanych potraw.

Newman nie wygląda na swoje 63 lata. Jest wciąż młody, uroczy i pełen wdzięku. Z zapalem bierze udział w ryzykownych wyścigach samochodowych. Niedawno na torze w Ohio był piątą wśród dwudziestu pięciu uczestników rajdu i osiągał szybkość 260 kilometrów na godzinę.

Kończący się rok był dla Paula Newmana szczególnie udany. Pamiętamy, iż dotąd nie nagrodzono go w „Słodkim ptaku młodości” czy „Żądle”, ani nie dostrzeżono reżyserii ważnych filmów, dramatów społeczno-obyczajowych „Rachel, Rachel” i „Bezbronne

nagietki”. Uznaniem krytyków i podziwem widzów towarzyszyła powściągliwość członków Akademii Filmowej, co rocznie przyznających Oscary. I stało się. Gdy Newman nie zaszczylił swą obecnością imponujących uroczystości w Hollywood, nie zapeszył: po raz pierwszy został uhonorowany złotą statuetką Oscara za kreację w filmie „Kolor pieniędzy”. Miejmy nadzieję, że niedługo obejrzymy ten obraz i skonfrontujemy z podobnym, również z Pauliem Newmannem w roli głównej, wtedy jeszcze interesującym młodzieńcem. Jak głosi wieść — w nagrodzonym filmie



NEWMAN I „COOL HAND”



śledzą go od czasu, gdy był młodym aktorem.

Latem amerykański twórca przebywał w Cannes i na festiwalu przedstawił zrealizowaną przez siebie adaptację sztuki Tennessee Williamsa „Szkła na menażerii”. Film, jak i sztuka, mówi o różnych odcieniach miłości i wieloletnich sposobach szukania miłości. Newman miał się w Cannes wyrazić: „Interesuje mnie robienie filmów, które mówią o doli człowieka”. Realizacja filmu to jak wielki bufet, z którego wszyscy biorą to, co imni przyniesie”.

Wróćmy jednak do Newmana-aktora. Na kasach znajduje się jeden z jego wcześniejszych filmów o polskim tytule „Luce w więzieniu” (w oryginale: „Cool hand”) Jest to wzruszająca i niesłychanie fascynująca historia młodego mężczyzny, chłopca prawie, który

dostaje wyrok dwóch lat za to, iż po pijanemu, w jakiejś niewytłumaczalnej chwili odepnięcia, rezygnacji, niszczy kilka ulicznych taksometrów. Kara wydaje się niewspółmierną do przewinienia, bo razem z Lukem jednym transportem przyjeżdżają morderca i gwałcień z wyrokami niewiele wyższymi. O więzieniach wiemy już nieco. Oglądaliśmy przecież różne wersje „Ucieczki z Alcatraz”. „Więźnia Brubackera”. I w tym filmie są dwa światy rządzące się niezależnymi prawami, szkanowanymi więźniowie, czasem okrutni, czasem solidarni strażnicy. Jest wreszcie wola walki przejawiająca się w potężnej ucieczce. Wreszcie, do którego trafia Luke, nie jest zbyt ciężkie. Mężczyźni przez cały dzień, od wschodu do zachodu słońca, specjalnymi cepami niszczą roślinność zarastającą przydrożne rowy. Nie skrepowani, jeśli dostaną pozwolenie — mogą chwilę odpocząć. Tylko wokół nich przechadzają się uzbrojeni strażnicy. Niejaką symboliczną jest postać dowódcy, w którego okularach odbija się pracujące słońce i pracujący więźniowie.

Luke od chwili zajęcia swego miejsca w więzieniu jest wśród więźniów „kims”. Nie boi się kar, marzy o wolności, przeciwstawia się przywódcy, ma własne zdanie. Powoli do zastraszono go światła wprowadza atmosferę luzu i niefrasobliwości. Na przykład odbywają się zawody, silnie „obstawione” dolarami przez zwolenników i wrogów, zawody, w których Luke ma w ciągu godziny zjeść 50 gotowanych jajek. Jaja zdobywane rozmaitymi sposobami pozwalają Luke’owi na przelastwienie, jakiego „chłopcy” dawno nie widzieli. Sceny są komiczne, bo przecież bohater wielokrotnie żałuje się, ale z pomocą przyjaciół, którzy masują mu żołądek, zmuszają do chodzenia, wypychają jajka na siłę i pomagają żuć — wygrywa. Nam, z zewnątrz, wydaje się to śmieszne, gdy Luke wyrasta na idola swych kolegów. Sytuację te obserwują strażnicy. Wykorzystują dramatyczny moment w życiu Luke’a i chcą go zabić. Po nadejściu wiadomości

o śmierci ukochanej matki, niejakie profilaktycznie, by w rozpaczy nie próbował ucieczki — zamykają chłopaka w specjalnej celi, czyniąc w rodzaju budy, w której można stać (np. przez dwie doby).

Dzieje się coś zupełnie innego. Niezawiniona kara, zamiast Luke’a zabić — budzi w nim rozpacz i agresję. Po kilku dniach bohater ucieka. Wywodzi w pole wszystkich, którzy go szukają, nawet tropiące psy padają w drodze. Przez długi czas nie słychać nic o uciekinierze, ale oto jeden z więźniów do staje przesyłkę, a w niej ilustrowany magazyn. Na jednym ze zdjęć Luke obejmuje dwie piękne dziewczyny i wydaje się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Wszyscy więźniowie oglądają zdjęcie i wierzą, iż jednemu z nich „udało się”.

Ale oto po kilku dniach poleja wieści z kaitretowanego Luke’a. I dla niej zdjęcie okazało się bezcennym śladem. Luke, tym razem w kajdanach na nogach, wraca do więzienia. Nie byłoby so bą, ani tym uwielbianym kolegą, gdyby, mimo kolejnych kar, nie próbował ucieczki. Tym razem zostaje bardzo szybko złapany, a zemsta naczelnika i strażników nie ma końca. Do późnej nocy Luke kopie doły, jakby symbolizując groby. Żałujemy się wreszcie i całuje swego prześladowcę po nogach, by wreszcie dano mu spokój. Przyrzeka poprawę i rezygnuje z dalszych ucieczek. Więźniowie, którzy przez okno obserwują całe zajście, odwracają się od swego niedawnego bohatera i drą jego gazetowe zdjęcie. Gdy zmordowany Luke wlece się do przyzby, odwraca ją się do niego plecami.

Jednak to nie koniec pomysłów Luke’a. Gdy po kilku dniach dochodzi do siebie, jako główny zaufany naczelnika roznośni pracującym więźniom wodę, zmyślnie zabiera kluczyki ze wszystkich samochodów, a jednym z wozów ucieka. W ostatniej chwili przylączy się doń jego przyjaciel. Siedzący wzdłuż szosy więźniowie krzyczą z zachwytem. Są to niestety ostatnie chwile bohatera. Nie ma gdzie uciekać, a śród ki, jakie przeciw niemu zgromadzone, są ogromne. W wielkim pustym kościele rozmawia z Bogiem, godzi się z nim, i na wezwanie policji wychodzi przed budynek. Nienawidzący go naczelnik, strzeła i śmiertelnie rani Luke’a. Karat ka nie odjeżdża do najbliższego lekarza, ale do odległego szpitala. Strażnicy pozwalają Luke’owi umrzeć w samochodzie, nie udzielając żadnej pomocy. Luke wie, że umiera, ale z ust nie schodzi mu charakterystyczny uśmiech, dość wygranej. W więzieniu zaś śpiawa się o nim pieśni i czci posklepane pieczołowicie zdjęcie roześmianego chłopaka obejmującego dziewczynę.

„Luke w więzieniu” to jeden z tych filmów, które budują wiarę w człowieka, w jego siłę, człowieczeństwo, w jego niezależność. A Newman jest w roli młodego zbuntowanego idealny, nawet jego uśmiech nie ma nic z sarkazmu, do końca pozostaje niewinny i jakby lekko naiwny. Bo przecież młody bezrobotny chłopak z południa Ameryki przegrywa swe życie.

FAN (MM)



DEMIURG W PIELUSZKACH

Ostatnio o Jelinku i jego poezji pisałam złe... Teraz zmieniam zdanie. W wydanym niedawno przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą tomiku — zielonogórski twórca prezentuje swe wcześnie utwory, starannie opracowane i przemysłane. Całość sprawia wrażenie wypowiedzi jednorodnej. Jakby mało było owego porządku — czytelnik może zapoznać się ze wstępem. Nie jest jednak to interpretacja wierszy, ani ich uproszczone objaśnienie. Jest to spis autorskich impresji, pobożnych życzeń kierowanych do muzy, próba uporządkowania przez Jelinka własnego stosunku do pisania i do obserwowanej rzeczywistości. Poeta akcentuje wyraźnie osobiste przeżycie i doświadczenie w procesie tworzenia. Uważa się za jednego z wybrańców, bo każdy poeta jest demurgiem. „Tak naprawdę chciałbym, aby poezja była magią”. Czy jednak jest sam demurgiem? Czy „pije ze źródła”? Chyba nie. Uważa się za zniechęconego, rozbitego i bez nadziei.

Marzy o szerokim, transcendentnym ujmowaniu świata, ale — jak przyznaje — brak mu perspektywy. Tyle wyznał autora. Jak bronią się wiersze?

Tomik „Małe życie” potwierdzałyby autorską tezę, iż jego wiersze są „również kartkami (...) dziennika”. Bohater utworów, sfrustrowany i młotający się w beznadziejnym poszukiwaniu dobra — ogląda całą beznadziejność świata. Lakonicznie, bez emfazy przypomina o bólach: „pijany wiersz / głodny wiersz / niemy wiersz”. W utworach wszech obecna jest warstwa deklaracyjna, skąd dowiadujemy się, iż nasz bohater podejmował wiele prób (jakich?) naprawy świata, zawsze jednak przegrywał; nauczył się tylko podnosić wysoko twarz, by nie zostać posądzonym o nadmierną wrażliwość. To takie charakterystyczne dla dzisiejszych czasów — czułość, dobroć, ale tylko we własnym kręgu, własnych czterech ścianach. Ot, oszust, a nie Prometeusz.

Bohater jest świadomy własnej słabości i nieudolności, boi się o swój obraz w oczach innych ludzi, gra silnego człowieka po to:

„aby nikt nie powiedział:
wystarczy świata dotknąć
a złamie się to nas linia życia”.

Zatem bohater Zbigniewa Jelinka nauczył się przybierać maskę. Tylko nam pokazuje prawdziwe oblicze, chce nas zjednać. A tak naprawdę jest zrezygnowany i powoli kapituluje. Oto, skonczył się pokolenie beatlesów i wczoraj si gniewni przyzywają się do życia, nauczeni, że „wszystkie konstatacje mają kibel na ustach”. Mam wrażenie, iż klucza do poezjowania Jelinka szukać należy wokół słów: kibel, maska, utopia. One bowiem organizują cały świat beznadziejności, nicości, rezygnacji.

Trudno opisać świat Z. najwyżej piętra wieżowca widać — o dziwo — tylko małe życie, może wiele takich jednostek, które pozostają rozbite jak pojedyncze fenomeny. Wysokość nie daje perspektyw. Beznadziejny bohater z

przykrością stwierdza, iż „na dole znów coś mi nie gra”. Okazuje się, że wszelkie pomoce, aksonomy, kwantyfikatory i pozostałe elementy logiki, cały aparat sensualistyczny — nie przylegają do poetyckiej wizji, nawet nie od powiadają realiom. Poeta jedynie marzy o swym locie ku transcendencji, ale skrzydła na podcięcie — przez szarość, przyzwyczajenia, wreszcie — „brak ochoty i siły, by wracać (...) do siebie”. Bohater Jelinka z aktywnego — we własnym wyobrażeniu — uczestnika, ba — kreatora życia — staje się jego szarym kibicem, aktorem grającym nietrudną, ale doskonale wyuczoną rolę.

Najgorsze jest w tym poczucie samotności: „poeta ma alergię odosobnienia”. W tłumie, obcy sobie z natury, ocieramy się o siebie i oddalamy zarazem. Ow stan pogłębia się w momencie spotkania, zbliżenia — wtedy oddziela nas od siebie styżność, nałożona maska człowieka. To tak jakby Jelinek widział i swego bohatera, i nas wszystkich w kategorii paraliżujących — za jętych konsumpcją i kopulacją, pozbawionych uczuć miłości i przyjaźni, odruchów radości, współczucia. Iż ironii w nakazie kierowanym do bohatera, by upodobił się do szarego tłumu.

„zgaś ten uśmiech
uczesz się i ubierz zgodnie z przyjętymi normami
i człowiek będzie szczęśliwy”.

Nawet, gdyby — podlegając nakazom mody — ubrać się i uczesać ekstragancko, modnie, ciekawie, zachodzi ryzyko, iż nastąpi to w niezgodzie i osobistym poczuciem estetyki, piękna, harmonii, z indywidualnymi potrzebami. Nikt nie chce wyglądać tak, jak wszyscy; pozostawiamy sobie margines na prezentowanie własnej osobowości, na wet w niezgodzie z obowiązującymi kanonami. Ironia Jelinka nie jest szyderczą, jest gorszą, bo zaprawiona goryczą i piołunem. Trzeba ją żuć jak zniewagę.

W wierszach znać rozdarcie między marzeniami, ideałami, a wiedzą o rzeczywistości.

To ostatnie często zamienia się w odradę do zaklamania i zafalszowania, „a najgorsze dopiero się zaczyna”. U Jelinka jest tylko przecucie piękna życia, gorzkie świadomości jego i nie-szczerość. Wielkiego biegu i odkrywania masek. Nic nie ma powabu świętości; nawet miłość, jednocząca znajomość, służy niszczeniu ostatnich chwil romanizmu. Przelotne chwile, ulamkowe przeżycia stają się legendą na długie dni. Bohaterowi wierszy brak odwagi, mimo deklarowanych potrzeb, pragnień — brak odwagi do zrobienia rzeczy wielkiej, przeżycia wielkiego uczucia, wreszcie — zdobycia się na wysilek zderzenia własnej niepotrzebnej maski i odkrycia. Nie ma miejsca na ekshibicjonizm, ten pojmanowy pozytywizm — odkrycia własnego „ja”. Może się to odbyć jedy nie w „chwili słabości”, przy zamkniętych drzwiach, zasłoniętych oknach i po ciemku. Nie tylko nie są pożądanymi widoczne z zewnątrz, ale sam bohater nie ma odwagi oglądać siebie. Demurg Jelinka śpi jeszcze, zawinięty w pieluszkę i gromadzi siły. Dorasta.

Bohater popędał samego siebie i nam nakazuje: „Idźmy przed siebie i słuchajmy czegoś ważnego”. Ale jest to właściwie ucieczka... od świata kalek i manekinów, świata masek zakrywających prawdziwe twarze. Jest fałszywy bieg, gdy nie ma żadnego celu. Gdy pustce nie przeciwstawiono żywej alternatywy.

Poezja Zbigniewa Jelinka niesie w sobie ciężar odpowiedzialnych deklaracji, które — oby spełnione — powinny być następny poetyckim program

„napisać wiersz
tak aby stworzyć nowy świat
(...) ze słów ulepić rzeczywistość
naszą wspólną
bez utopii
(...) taką dobrą”.

MALGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA

Zbigniew Jelinka: Małe życie. Półka nie, które wstępuje: S. 10, nr 4. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Warszawa 1988.

KARSZYN Z TRADYCJĄ

Klub Prasy i Książki w Karszynie, emina Kargowa, został otwarty 23 lata temu. Przez ten czas nie był ani razu zamknięty z powodu zmiany gospodarki klubu. Obecna gospodyni tej placówki Karolina Drzymała pracuje w klubie od początku. To rzadki przypadek, choć nie jedyny, że klub uniknął sytuacji kadrowej przez tyle lat.

Placówka jest zlokalizowana w pomieszczeniu dwulizbowym. Część handlowa jest oddzielona od sali kawiarnianej, co zapewnia swobodne prowadzenie działalności kulturalno-oświatowej. Oprócz tego istnieje jeszcze duży i dobrze utrzymana sala widowiskowa, w której odbywają się większe imprezy artystyczne, jak na przykład spektakle teatralne, choinki dla dzieci, dyskoteki itp.

Pomieszczenia klubowe wymagają jednak remontu. W części handlowej na suficie widoczne zacieki pozostałe po którymś z kolejnych deszczów. Właściwie remontu wymaga cały budynek. Urząd Miasta i Gminy planuje podobno jego przeprowadzenie w przyszłym roku, oczywiście — jeżeli będą na to środki. A tych, jak wiadomo, w gminach nigdy nie było za wiele.

Meble, zarówno klubowe, jak i handlowe, znajdują się w niezłym stanie, chociaż po remoncie przydałoby się je wymienić. Placówka jest dobrze wypo-

sażona w sprzęt audiowizualny. Obok telewizora do odbioru programów kołowych, do dyspozycji są jeszcze: wzmacniacz, magnetofon stereofoniczny, magnetofon ZK-140, odbiornik radiowy, oraz kolumny głośnikowe.

W klubie działa amatorski zespół muzyczny, w którym występują: Grzegorz Balcerak, Fryderyk Wypicki, Leszek Przybylski, Dariusz Karczewski oraz solistka zespołu Dorota Pecold. Zespół przygrywa na dyskotekach i na wszystkich innych imprezach artystycznych.

Jest także amatorski dziecięcy „Skrzat”, który prowadzi animatorka kultury Stanisława Cieślukowska — dyrektorka szkoły podstawowej w Karszynie. „Skrzat” brał udział w wielu przeglądach rejonowych i międzywojewódzkich, gdzie zdobywał uznanie i liczne nagrody. Wkrótce teatrzyk „Skrzat” ulegnie odmłodzeniu, gdyż dzieci podrostały, poszły do szkół średnich bądź przestały bawić się w teatr. Szczęśliwie najmłodszy kandydat.

Pani Cieślukowska kieruje również pracą dziecięcej sekcji plastycznej, zrzeszającej kilkunastu członków, z których niektórzy są bardzo uzdolnieni i chętni do pracy. Jej członkowie co roku biorą udział w konkursie plastycznym pod nazwą „Gdybym był pisarzem i malarem”, i osiągają w tej imprezie spo-

re sukcesy, zdobywając dyplomy i wyróżnienia. W bieżącym roku troje dzieci wyróżniono na Centralnym Podsumowaniu tego konkursu plastycznego, które odbyło się w Krakowie. Są nimi: Joanna Pietruszka, Karolina Dynak i Tomasz Gmosiński. Za swoje osiągnięcia dzieci otrzymały dyplomy pamiątkowe i nagrody książkowe.

Rada klubu w Karszynie składa się z przedstawicieli organizacji społeczno-politycznych istniejących na wsi, jak ZSMP, ZMW, OSP, KGW oraz Koła Przyjaciół Dzieci. Rada w razie potrzeby służy pomocą gospodyni, chociaż mogłaby przejąć więcej inicjatyw i aktywności. Jest to bowiem ciało społeczne, które winno bezpośrednio zajmować się aranżacją działalności merytorycznej w swojej placówce.

Kącik czytelniczy został bardzo gustownie urządzony w połączeniu ze stałym punktem odczytowym, który ma sporą gromadkę swoich słuchaczy. Obok na frontowej ścianie, wystawa plastyczna pod nazwą „Dni Filmu Radzieckiego”, zorganizowana z okazji rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej.

Kiedys były tu jeszcze sekcja tenisa stołowego, teatr przy kawie i sekcja recytatorska. Teraz to się rozpadło, ale gospodyni klubu ma zamiar reaktywować teatrzyk. Nie wie jeszcze, czy zbierze odpowiednią grupkę młodzieży. Być może, że jej to się uda.

Na zakończenie warto dodać, że na 20-lecie pracy Karoliny Drzymały mieszkanki Karszyna urządziły swojej kierowniczce klubu prawdziwą uroczystość jubileuszową i serdecznie podziękowali za długoletnią i wytrwałą pracę na tym stanowisku.

ZENON CZARNECKI

PAX na Ziemi Lubuskiej

Przed 30 laty, po przełomie październikowym 1956 r., powstał Oddział Wojewódzki PAX w Zielonej Górze. Początki ruchu katolików świeckich na Ziemi Lubuskiej sięgają roku 1953, kiedy w Zielonej Górze utworzono oddział redakcji „Słowa Powszechnego”. Działacze PAX współpracują z wieloma instytucjami i towarzystwami kulturalnymi, wchodzą w skład komisji rad narodowych, sami organizują imprezy kulturalne i oświatowe. Każdego roku oddział wojewódzki PAX Polski północno-zachodniej przyznaje nagrody im. księdza dr. Bolesława Domańskiego — przywódcy Związku Polaków w Niemczech. Wśród laureatów nagród jest kilku Lubuszan, propagujących polskość nad Odrą, nauczycieli i wychowawców młodzieży, animatorów życia kulturalnego i społecznego. Zielonogórski PAX organizuje corocznie konkurs recytatorski polskiej poezji religijnej i patriotycznej, propaguje twórczość nieprofesjonalną, upowszechnia wiedzę o regionie. W klubie „Kierunki” odbywają się spotkania z wybitnymi uczonymi, artystami i działaczami katolickimi.

60 lat

Liceum w Międzychodzie

1 września 1927 r. w czterech klasach utworzonego w Międzychodzie gimnazjum koedukacyjnego rozpoczęło naukę 119 uczniów. Międzychód, położony przy dawnej granicy polsko-niemieckiej, zamieszkały przez Polaków i wielu Niemców, powołał tę szkołę akurat wtedy, kiedy w Niemczech rozpoczynała się kampania antypolska. W latach międzywojennych gimnazjum odegrało ogromną rolę w krzewieniu patriotyzmu, nauki i kultury wśród społeczeństwa polskiego. W latach 1932-1939 jego dyrektorem był dr Wiesław Sauter, późniejszy kierownik szkoły w Nowym Kramsku i prezes Lubuskiego Towarzystwa Kultury. W Polsce Ludowej międzychódzkie Liceum ukończyło ponad 2 tysiące osób. W uznaniu zasług dla oświaty i kultury sztandar szkoły udekorowano odznakami honorowymi „Za zasługi dla województwa gorzowskiego” i „Za zasługi dla wojewódzkiej organizacji ZSMP”. W uroczystości wzięł udział minister Edukacji Narodowej Henryk Bednarski.

Dekada Książki

Społeczno-Politycznej

W woj. gorzowskim z okazji Dekady zorganizowano wiele wystaw, m.in. w Wojewódzkim Domu Kultury — „Polityka kulturalna PRL”, w Międzychodzie — „Książka i prasa społeczna”. W Zielonogórskim Dekadę zainaugurowano w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej otwarciem wystawy „Rewolucja — Człowiek — Świat — Polityka”, na której pokazano także dokumenty pochodzące z lat 1945-1950, obrazujące początki polskiego osadnictwa w Zielonej Górze. Inauguracja Dekady w woj. legnickim odbyła się w Głogowie i została przygotowana przez tamtejszą bibliotekę. Z okazji Dni Książki Społeczno-Politycznej odbyło się wiele spotkań z dziennikarzami „Gazety Lubuskiej”, „Ziemi Gorzowskiej”, „Konkretów” i „Nadodrza”. W spotkaniach z czytelnikami uczestniczyli również członkowie Stowarzyszenia Autorów Polskich i Związku Literatów Polskich.

Zielonogórskie

Spotkania Literackie

Co kilka lat zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich wspólnie z Lubuskim Towarzystwem Kultury, bibliotekarzami i księgarzami organizuje Zielonogórskie Spotkania Literackie. W tym roku Spotkania rozpoczęła sesja popularno-naukowa w Wyższej Szkole Pedagogicznej, podczas której Zenon Łukasiewicz i Czesław Sobkowiak omówili dotychczasowy dorobek twórcy literatów zamieszkałych na środkowym Nadodrzu. Biblioteka Główna WSP przygotowała wystawę książek autorów lu-



buskich. Spotkania pisarzy z czytelnikami odbyły się w szkołach Zielonej Góry, Zagania i Zar. Prócz autorów zielonogórskich w Spotkaniach uczestniczyli członkowie ZLP z oddziału w Poznaniu.

Nagrody GTK

Doroczne nagrody Gorzowskiego Towarzystwa Kultury za działalność społeczną w dziedzinie kultury i sztuki otrzymali: Czesław Chmielewski z Witnicy — twórca prywatnego muzeum woj. teczki dla ościennych, działaczka Polskiego Związku Niewidomych; Ludwina Nowicka — aktorka Teatru im. Juliusza Osterwy, opiekunka amatorskich zespołów teatralnych.

„Wymyk”

Samorząd studencki Wydziału Zamiejscowego Wychowania Fizycznego poznańskiej AWF w Gorzowie wydał pierwszy numer biuletynu „Wymyk”. Gazeta ukazała się w starannej szacie graficznej, której techniką kserograficzną w nakładzie 500 egzemplarzy. W numerze pomieszczono teksty, m.in. o kulturze studenckiej, rozmowy, informacje, przedstawiła sylwetkę Eugeniusza Piaseckiego, którego imię nosi uczelnia. Zespół redakcyjny przewodził Przemysław Brodzki. W przeszłości studenci gorzowscy wydawali własne gazetki — Biuletyn Informacyjny RU SZSP, „Dzwignię” i „Rekontrę”.

Laureaci

Drugą nagrodę za projekt plakatu w konkursie na rysunek i grafikę o tematyce jazzowej w Świebodzinie otrzymał Piotr Drojecki z Gorzowa. Wyróżnienie przypadło w udziale dziesięcioletniemu Cyprianowi Witkowskiemu ze Świebodzina. Pierwsze miejsce w V Przeglądzie Amatorskich Zespołów Muzycznych „Musicorama” w Zielonej Górze zajął zespół „STO” ze Świebodzina, drugie — „HYDE PARK” z Nowej Soli. W przeglądzie uczestniczyli 17 zespołów instrumentalnych i instrumentalno-wokalnych.

Zaprosili nas

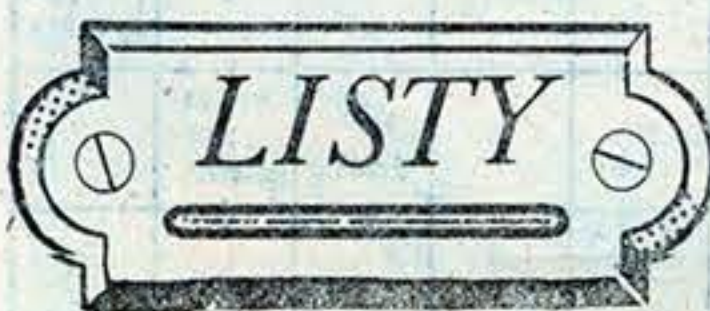
Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu na „Wystawę filatelistyczną w dokumentacji pocztowo-filatelistycznej”; Wojewódzki Komitet Stronnictwa Demokratycznego na sesję organizowaną z okazji inauguracji obchodów 50-lecia Klubów Demokratycznych i Stronnictwa Demokratycznego w Zielonej Górze i województwie zielonogórskim; Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Zielonej Górze na konkurs recytatorski polskiej poezji religijnej i patriotycznej; Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze na konferencję „Biblioteka publiczna ośrodkiem popularyzacji sztuki i wiedzy o sztuce”; Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie na spektakl Henryka Matusa pt. „Zabie czary”.

nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 63-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 63-058 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 0432258. Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło.

Jan Rollen
Zielona Góra



„Wiec nad świątą gruszą”

NIE CHCEMY BUTIKÓW

W „Nadodrzu” z dnia 11 listopada br. ukazał się artykuł red. Haliny Ańskiej pt. „Wiec nad świątą gruszą”. Zdecydowanie popieram odważne i jakże prawdziwe spojrzenie autorki na tę sprawę. Moja refleksja jest podyktowana długoletnim przywiązaniem do tego miejsca. Jest też wypowiedzią jednego spośród mieszkańców tej dzielnicy.

Wokół placu stoją domy. Lokatorzy zwłaszcza mieszkający najbliżej, więc najbardziej zainteresowani ukształtowaniem tego skrawka terenu, od lat patrzą ze smutkiem na postępującą dewastację. W tym brudnym placu dzieci grają w piłkę, no bo gdzie mają grać, skoro nie ma podwórka? Tu, gdzie wznosi się nowowbudowany „dom rzemieślniczy”, był kiedyś ogród różany, należący

do p. Żurawskiego. Nie ma już tego ogrodu. Po krzewach, żywopłocie została namiastka. Śmierć poniosło kilkanaście wysokich drzew, a na ich miejsce nie zasadzono, niestety, drzewek młodych, choć to było obiecanie.

Mówi się teraz wiele o demokratyzacji życia i zwiększaniu udziału obywateli w rządzeniu krajem. Ale jak ma współrządzić krajem szary obywatel, skoro administracja miejska nie chce słuchać jego racji?

Wielu z nas, zamieszkałych w tym rejonie, pracuje w zakładach przemysłowych. Kończąc pracę w pyle i spalalinach, wracamy do domu. Otwieramy okno, a za oknem też spaliny.

W centrum Zielonej Góry nie brakuje parkingów, ani butików, a tych ostatnich jest nawet nadmiar. Dostrzeż może na nich nawet bezczel. Jest sprzedawca, jest towar i tylko od czasu do czasu ktoś oglądający. Dziwili się rzemieślnikom, którzy to miejsce upatrzyli sobie na organizację działalności.

Zbudowanie placu, o którym mowa, zalanie tego ostatniego kawałka ziemi betonem, wytrzebieenie resztki krzewów i ściecie reszty drzew, będzie, jeśli Urząd Miasta tak zdecydował, niewybaczalną krzywdą dla okolicznych mieszkańców.

Roman Szczepny
Zielona Góra

W OBRONIE DRZEW I ZIELENI

My mieszkańcy Zielonej Góry zamieszkali przy ul. Boh. Westerplatte nr 4-22, po przeczytaniu artykułu red. H. Ańskiej postanawiamy wypowiedzieć się w sprawie dewastacji środowiska.

Smutna i prawdziwa jest ta historia. Beznadziejne niszczenie drzew, zieleni, ogrodzenia, ławek parkowych i oświetlenia na placu, położonym przy ul. Boh. Westerplatte nr 4-22, odbywa się mimo sprzeciwu mieszkańców, przy biernej postawie władz miejskich. Postawę taką mieszkańcy uznają za aprobatę niszczy cielskich poczynań.

Artykuł trafnie i prawdziwie opisuje nasze rozpaczliwe próby zapobieżenia dewastacji terenu oraz nie znaczące kłamliwe słowne obietniczki przedstawicieli władz miasta. Oddaje też bezsilność mieszkańców zatrutych spaliniami samochodowymi i czadem, parzących na hałasy przekraczające dopuszczalną ilość decybeli, wrzaski pijaków zanieczyszczających otoczenie, poróżbione butelki oraz samochodów ciężarówek tarasujące wszystkie wolne miejsca.

Tymczasem urzędnicy przeświadczeni o swojej bezkarności, dalej wycinają drzewa niszczą zielen, dążąc do zabudowywania placu budami, szumnie zwanyymi „butikami”. Chcemy aby miasto nasze było zielone, czyste i zadbane. Aby w środku miasta był zadrzewiony plac. Chcemy też, aby przedstawiciele władzy dotrzymywali danego słowa. Aby publicznie, wobec mieszkańców wypowiedziane zapewnienie, miało pokrycie i było realizowane.

Łączymy się we wspólny głos w sprawie zagospodarowania placu opisanego przez red. H. Ańską. Zwracamy się do władz miasta, by zaniechały bezsensownej, ciasnej, wybetonowanej zabudowy. By zakazały tu dróg dojazdowych. By

zrezygnowały z pseudo-parkingów, „butików” i przywróciły w tym miejscu zielony, zadrzewiony park.

Siedemdziesiąt podpisów
mieszkańców Zielonej Góry

„Dla kogo ten korowód?”

Red. Ańska kilkoma pociągnięciami pióra... naruszyła panującą w nas stan błędnego samozadowolenia. Podpisuję się pod jej propozycjami, zmierzającymi do zmiany formuły i treści przyszłych korowodów. Współgraję one z przemysleniami zarówno moimi, jak i tych, którzy po obejrzeniu tegorocznego tandetnego produktu w sosie starogreckim, chcieli szybko o nim zapomnieć...

Pytanie o przyszłość korowodu, to w istocie pytanie o kształt i treść produktów kultury masowej, będących dla lokalnych (wy)twórców niewyczerpalnym źródłem powiększania jednostkowych nawisów inflacyjnych, a dla urzędników, mających w obowiązku „stwarzanie warunków do zaspokajania kulturowych potrzeb mieszkańców” neutralizatorem wyrzutów sumienia, mogących się pojawić w dniu pobierania płacy za pracę.

Red. Ańska ma za zle realizatorem, że ich „dziecko” ożywiło się dopiero przed trybuną. No, a jakże inaczej urzędnik wyższego szczebla mógłby zauważyć wysiłek urzędnika niższego szczebla i gestem, tudzież uśmiechem, dać do zrozumienia, że widzi i że docenia?

Red. Ańska załamuje ręce nad „nędzną dydaktyką tego ponurego pochodni” oraz nad brakiem w nim „spójnej myśli i dowcipu”. Ja osobiście nigdy nie spotkałem urzędnika, dowcipującego w momencie wykonywania urzędowych czynności, obserwowanych na dodatek przez przełożonych.

Urzędniczy punkt widzenia przejawiał się w lekceważącym potraktowaniu widów. W zaserwowaniu im przemarszu rzymskich legionistów robiących za greckich hoplitów. W przebieżce antycznych erosików, ubranych w ceratowe ciemki średniowiecznego kroju. W nieczytelnej dla niego, poza realizatorami i osobami uprzywilejowanymi z okolic trybuny, fabule.

Tegoroczny korowód był produktem sojuszu szobiznu z urzędnikami. Urzędniczy punkt widzenia zdominował wszystkich. Najzabawniejsze, a może najtragiczniejsze jest to, że wykonawcy, a była to przeważnie młodzież w wieku szkolnym, przyjęli ten punkt widzenia. Nuda i zubożenie, bądź grymas na obliczach, tudzież nierzadkie wulgarnie odzywki, znikły jak zaczarowane reżyserką pałeczka przy zbliżaniu się do trybuny.

Organizatorzy i realizatorzy tegorocznego korowodu skierowali myślenie w stronę trybuny. Dobrze, że choć nie zabrakło im odwagi na ironiczną autoocenę. Wszak chyba, nie przypadkiem w orszaku słonecznego Apolla szła muza Chałturnia?

Wyjście z tego kwadratowego koła? Uspołecznienie Winobrania. Uczynienie z niego sposobu na podmiotowy, aktywny i twórczy udział mieszkańców naszego miasta w tworzeniu wartości kulturowych. Konkretu są w artykule red. Ańskiej. Każda z jej propozycji jest prawie gotowym scenariuszem następnych korowodów. Chciałbym, aby był to początek dyskusji o przyszłości zielonogórskiego życia kulturalnego.

Dzięki kierownictwu The British Council i impresariatu Teatru Studio jechał do stolicy w listopadzie br. londyński **The Royal Court Theatre**. Przez cztery kolejne wieczory publiczność warszawska oglądać mogła „Cesarza” Ryszarda Kapuścińskiego w wykonaniu artystów brytyjskich. Już na wiele dni przed przyjazdem teatru, warszawiacy obiegali kasy Teatru Studio (cena biletu — 600 zł.). W biurach impresariatu urwały się telefony z prośbą o bodaj miejsce stojące. Koniec końców zorganizowano kilka dodatkowych spektakli o dość niefortunnej porze, bo o godzinie piętnastej. Mnie udało się uczestniczyć w pierwszym, premierowym w Polsce, przedstawieniu.

Kiedy w latach siedemdziesiątych ukazała się książka Ryszarda Kapuścińskiego, wywołała dyskusję i zachwyt rodzimej krytyki. Doszukiwano się też aluzji do rządzącej wówczas ekipy Edwarda Gierka. „Cesarz” doczekał się rychło adaptacji teatralnej: został wystawiony w Teatrze Powszechnym. Wkrótce potem, udostępniony widzom w całym kraju, spektakl Teatru Powszechnego zaprezentowała Telewizja Polska. Na początku lat osiemdziesiątych książka Kapuścińskiego została przetłumaczona w Stanach Zjednoczonych i

Wielkiej Brytanii, znajdując poczytne miejsce na liście światowych bestsellerów wydawniczych. Doskonałego przekładu „Cesarza” dokonali: William K. Brand i Katarzyna Mroczkowska-Brand.

Twórcę londyńskiego „Cesarza” Jonathana Millera, Ryszard Kapuściński poznał wiosną 1986 roku, w Oksfordzie, w czasie przyjęcia, które z okazji wydania swojej nowej książki urządził angielski poeta James Fenton. Jonathan Miller jest jednym z największych — obok Petera Brooka — reżyserów brytyjskich. Przecinawszy się przez tłum gości przedstawił się Kapuścińskiemu, powiedział, że przeczytał jego książkę i bardzo zapalił się go pomysłowi zrobienia z „Cesarza” przedstawienia teatralnego. Jednakże istniał pewien problem. Bowiem Miller, który reżyseruje na całym świecie, nie ma własnego teatru.

Jakiś czas potem zadzwonił do Kapuścińskiego Michael Hastings — wybitny angielski dramaturg i kierownik literacki The Royal Court Theatre w Londynie — z propozycją adaptacji i wystawienia „Cesarza” w swoim teatrze. W ten sposób doszło do połączenia dwóch znakomitości, dwóch wybitnych zjawisk teatru angielskiego — „Cesarza”

wystawił tak świetny teatr jak The Royal Court (teatr Becketta i Osborne'a), a reżyserował Jonathan Miller. Adaptacji książki dokonał Hastings. Miller stworzył zespół aktorski, który potem otrzymał najwyższe noty krytyków. Swoista mieszanina narodowościowa stworzyła to przedstawienie: teatr — londyński, reżyser i adapter — Anglik, aktorzy — z Afryki, Bliskiego Wschodu i Karaibów, autor — Polak, rzecz dzieje się na dworze cesarza Etiopii, czyli może dzieć się wszędzie.

Londyńska premiera „Cesarza” odbyła się 12 marca 1987 roku. W czasie pierwszych przedstawień teatr był otoczony policją, ponieważ przed wejściem odbywały się manifestacje organizowane przez członków rodziny cesarskiej i grupy Rastafarian, którzy — w ulotkach i przez głośniki — domagali się głów Millera, Hastingsa i Kępcuszczyka.

Zaczęto od wystawień na małej scenie. Chętnych jednak było tak wielu, że bilety wykupiono natychmiast. Po leńniej przerwie sztuka została wznówiona na dużej scenie. Przedstawienie zakupił również teatr telewizji brytyjskiej.

DŹAMIŁA ANKIEWICZ

POSTALWAY

Z grubsza biorąc wyróżnić można trzy szkoły promowania młodych na nieprzejętych pracowników, działaczy albo — po prostu — obywateli.

Pierwsza utrzymuje, iż adeptów jakiejś profesji — jeżeli tylko przejawiają faktyczną wolę do wyjątkowej solidności — należy premiować, w pełni akceptować, powierzać im trudniejsze i ciekawsze zadania, nie bać się, że w ten sposób popadną w zadufanie, bądź nawet szefa zechcą podkopywać.

Szkola druga stawia na umiarkowanie. Jej zwolennicy uważają, że — owszem — ambitnych młodych trzeba dostrzegać, ale z pokładaniem w nich zdecydowanych nadziei lepiej poczekać. Z docenieniem służbowym i moralnym nie spieszyć się. Na to zawsze przyjdzie czas. A jeśli iść oszczędne uznanie nie wystarczy, nie ma kłopotu; o ile po dwóch, czterech latach się zrażili, najprawdopodobniej ich zapal był słomiany i nie ma czego żałować. Najpewniejszy jest człowiek sprawdzony przez lata doświadczenia. Młodzi zwykle chcą liby wszystko od razu.

Szkola trzecia to twarda szkoła. Jej wyznawcy są zdania, iż jeśli młodzi, na

Racjonowanie satysfakcji

początku swej kariery zawodowej chcą się poszarpać, zabłysnąć, efektywnie pokazać, to ich prywatna, osobista sprawa. Uznanie, nagrody w rachubę nie wchodzi. Korci Kogos, niech się popisuje. Akceptacja ja! najoszczędniejsza. Wskazane natomiast stawianie progów, utrudnień w próbach podejmowania nowatorskiej, twórczej działalności. Jeśli owe pierwsze niepowodzenia, kłopoty, taki zapalenieć przetrzymać, wówczas zahartuje się, da sobie w życiu rade i społeczeństwo z niego skorzysta. W każdym razie — traktować go trzeba bez sentymentów. Co ma wieść, nie utonie

Nasuwa się pytanie, która z tych „koncepcji” ma charakter optymalny? Mogłoby się do każdej z nich w kilku słowach ustosunkować i wycofać się z pola pozostawiając Czytelnikowi wybór. Opowiadam się jednak za „wariantem” pierwszym.

jest sukcesem. Dlaczego o tym nie powiedzieć? Osiągnięcia pociągają za sobą nagrody, formy. Dlaczego ich nie dać? Starszym przysługują, a młodym nie! Gdy człowiek jest doceniany, zwielokrotnia się jego siły do następnych, coraz większych przedsięwzięć. Satisfakcje stają się coraz bardziej wysublimowane, a głośnizna, sławy, szacunku jest coraz większy. Społeczne szkody — najdelikatniej mówiąc — w tym nie ma. Rzecz oczywista, gdy osiągnięcia nie są uwarunkowane krzywdą innych czy nieuczciwością.

Jednostka wysyłająca się dla sukcesu, kariery sama sobie stawia najwyższe wymagania. Takie, jakich nie wyznaczyłyby najbardziej surowy szef. Występuje zatem wymiar autentyczny. Więcej się zdobywa wtedy, kiedy trud się narzuca samemu sobie, niż wtedy, gdy wypełnia się tylko czyjś wole. Bez takiej „filozofii” nie byłoby wspaniałych osiągnięć w sztuce, nauce, sporcie. Ponieważ w innych, bardziej powszechnych dziedzinach owej „filozofii” często brakuje, więc o sukcesie trudniej.

STANISŁAW TUROWSKI

MöR Ginaiki

NAUCZYCIEL I UCZEN. Ryszard Matuszewski w polemice z Andrzejem K. Waskiewiczem, dotyczącej Mieczysława Jastruna i kwestii „czy był on prominentem?” („Tygodnik Kulturalny” nr 48) wyznaje: „Nieodborne jest, jeżeli krytyk poezji pamięta z tamtego okresu tylko kilka wierszy ze szkolnego podręcznika. Co prawda, za podręcznik, z którego wyciął się Waskiewicz, ja właśnie, jako jego autor, odpowiadam, niemniej nie jest dobrze, jeżeli ktoś, kto postanowił zajmować się krytyką literacką, w ciągu trzydziestu lat nie uzupełnia wiedzy wyniesionej z liceum”. A z jakich podręczników korzystał sam Matuszewski?

GŁOS ROZSADKU. W tym samym numerze „Tygodnika Kulturalnego” interesujący wywiad Elżbiety Sadowskiej z Władysławem Siłą-Nowickim, byłym doradcą byłej „Solidarności” a obecnie członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Mówi Siła-Nowicki stwierdzając m.in.: „O to, że nie są publikowane szersze (relacje z posiedzeń Rady — nasz przyp.) mam ogromne pretensje. Przede wszystkim do grupy niezależnej, takiej jak „Tygodnik Powszechny” czy inne pisma katolickie, które w moim przekonaniu nie spełniają swoich obowiązków wobec społeczeństwa, a także wobec walki o wolność słowa”. Nas to nie dziwi. Organ red. Turowicza dokonuje bardzo ostrożnej selekcji tematów, żeby nie powiedzieć — w sposób wysoce tendencyjny.

DOBRE INCYDENTY. Pod takim tytułem tygodnik „Veto” (nr 48) publikuje wypowiedź Zdzisława Piotrowskiego z Zielonej Góry. Autor pisze: „Najbardziej denerwują mnie drobne sprawy. Od nich bym zaczął reformowanie rynku. W sklepach w Zielonej Górze chleb czerszy leży pośród świeżego. Każdy klient obmacuje bochenki, bo nikt nie chce kupić starego chleba. Wprawdzie leżą na półce kartki, przez które należy założyć sprawdzić świeżość, ale są one nieco większe od paczki papierosów, więc siłą rzeczy klienci dotykają chleb. Sprzedawcy tolerują takie zachowanie”. I tak toczy się ta zabawa w kotka i myśz...

PRZEDWCZESNE NIEPOKOJE. Jeszcze nie rozpoczęła swojej działalności prof. Ewa Łętowska w roli rzeczniczki praw obywatelskich, a już Józefa Hennełowa w 48 n-rze „Tygodnika Powszechnego” niepokoił się: „Pytanie tylko, czy rzeczniczka praw obywatelskich zastrzeżenie ma dla siebie samego prawo do kontaktu z opinią publiczną i jej informowania? I czy będzie wolno o tym pisać?” Z pewnością nie tylko będzie wolno, ale i trzeba będzie o tym pisać, czego dowodem jest tekst p. redaktora zatytułowany „Na początek”.

POŚREDNIE FINANSOWANIE. W czwartym numerze „Res Publica” wykaz nazwisk osób, które wpłaciły na prenumeratę pisma. Największą kwotę — 180 tys. zł — ofiarował poeta Kazimierz Hoffman z Bydgoszczy, informując iż jest to nagroda Funduszu Literatury za tom poezji „Dwanaście zapisów”. Aby usprawnić obieg pieniędzy proponujemy Funduszowi Literatury bez pośrednich ich przekazywanie na wydawnictwo „Res Publica”. Po co obciążać tym zasobniki poetów?

KRYSTYNY KERSTEN WIDZENIE HISTORII. W tym samym n-rze czasopisma „Res Publica” historyk Krystyna Kersten publikuje szkic pt. „Ludzie na drogach”, omawiając w nim powojenne procesy migracyjne Polaków. O ziemiach zachodnich i północnych autorka pisze jako o ziemiach przyłączonych do Polski, ani słowem nie wspominając o ich nielaskawym rodowodzie. Natomiast repatriację Polaków z Wilenszczyzny określa jako proces deportacji. Autor tej noty popadł w zadumę, gdyż sam jest dobrowolnym repatriantem, nikt go nie deportował, a zamieszkanie na środkowym Nadodrzu wybrał również całkiem dobrowolnie. Wiec jak tu wierzyć niektórym historykom?

NOWA PRYWATNOŚĆ. Piotr Kuncewicz w swych gawędach zajął się tym razem poetami spod tego znaku („Przeładę Tygodniowy” nr 48). Pisząc o twórczości Sergiusza Sterny-Wachowiaka, nie omisszał zacząć o dziełach Henryka Berezę: „W prozie zresztą (Sergiusz Sterna-Wachowiak — nasz przyp.) dorobił się już uznania Henryka Berezę, co przecież na każdego powinno działać jak dzwon na trumnie. Wszak wiadomo, że wroży imperializm zerucił na nasze pola stonkę, by zniszczyła kartofle, a Henie na literaturę, by wykończył powieść.”

Z kolei Kuncewicz zagląda na zielonogórskie poletka poetyckie: „W niewielkiej Zielonej Górze także zebrał się ostatnimi laty pociąg często przypominani przez ich negatywniejszego krajana, Waskiewiczza. Oni w zamian pielęgnowują kwiaciak pod jego dawnym okiem, wieszając domki dla ptaków i stawiając pulapki na szczeru. Najwyższą uwagę zwrócił tu na siebie Waldemar Mystkowski(...) Mystkowski w swych zainteresowaniach jest co nieco nowofalowy. Jego bohater stale obraca się w ludzkiej gromadzie. Ale dzieje się to w mieście i ulice ustawicznie tu potracają — a to już nowopoprzytane. Mystkowski trochę fabularyzuje, ma statych bohaterów: piękną Flo, wujka Korwinia, ciotkę Cecylię, przyjaciół. Jest konkretny i nie co ironiczny, często oschły. Nie gardzi metaforą medyczno-anatomiczną, bywa brutalny.” O Czesławie Sobkowiaku: „... jest właściwie autorem bardziej Nowej Fali niż Nowej Przytaczności, bo debiutował w 1970 r. (...) Znajdziemy tu i inne elementy społeczne i osobiste, zwłaszcza uczucie osamotnienia, poszukiwanie tożsamości i łączności z innymi. Prawdę powiedziano: wole jednak Sobkowiaka w roli wrażliwego krytyka niż nadto uczciwego i dość nierównego poety, ale czasem ciekawego.” Spośród innych poetów zielonogórskich, Kuncewicz wymienia jeszcze Eugeniusza Kurzwę, Mieczysława Warszawskiego, Czesława Markiewicza i Jerzego Chłodnickiego — „człowieka wielu zawodów od brukarza i tokarza po wykładowcę Uniwersytetu Ludowego w Klenicy, dziennikarza (...), a w ogóle znakomitego kompana.” To nas przekonuje, że najbardziej!

DLACZEGO BRODSKI WYEMIGRO-
WAŁ? Ciekawy przyczynek do biografii tegorocznego laureata literackiej nagrody Nobla znajdujemy w felietonie Andrzeja Ziembę, zatytułowanym „Szuka mięsa to też sztuka”. („Przegląd Tygodniowy” nr 48). Otóż, według Ziembę, nie względy polityczne zadeptywały o wyjeździe Brodskiego ze Związku Radzieckiego, lecz – uczulenie na mrozy: „Tak jak by nie mogła być wystarczająco zimna okolica, nie mogła być wystarczająco ciepła”. „Wielokrotnie, w wielokrotnych powodom okoliczności, że pocieść stało się zimno w głowę” („wielkogłowy chłopak” – pisze o nim Drazwicz w „Tygodniku Powszechnym”), a tu z wiekiem organizm coraz mniej odporny.” Wniosek oczywisty: ponieważ w swoim kraju nie mógł kupić odpowiedniej wielkości czapki, musiał wyjechać do cieplejszych krajów...

nadodrze

Rozrywki umysłowe

[illegible]

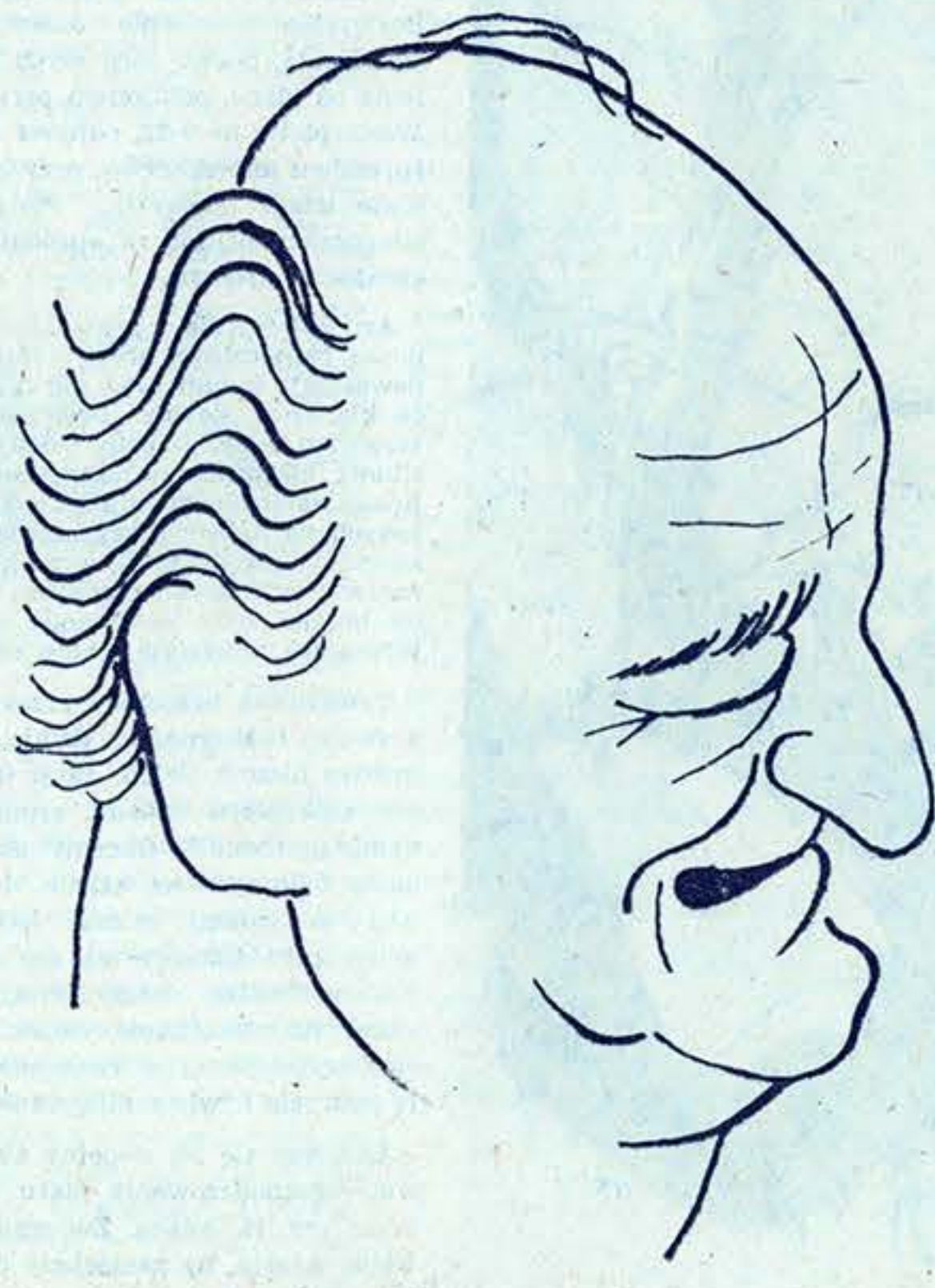
Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki rozlosujemy nagrodę książkową wartosć ok. 1000 zł. Rozwiązania prosimy nadysłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru; na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 23:

Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe hasło — „Strzeż się pożaru” — bony PKO po 500 zł, które ufundował Zarząd Wojewódzki Ochotniczych Straży Pożarnych w Zielonej Górze wylosowali: Małgorzata Pawlicka z Kożuchowa, Jan Wdowiński z Zielonej Góry, Zenon Hrydziusko z Miodnicy, Franciszek

Wiśniewski ze Szczecina, Zofia Jakubowska z Brojce woj. gorzowskie, Agnieszka Wawrzyniak z Wrześni, Janusz Siarkiewicz z Gończyc woj. siedleckie, Antoni Dreniowski ze Smardzewa, Paweł Gołębiowski i Maria Leśniak z Zielonej Góry. Serdecznie gratulujemy. Nagrody wysłane będą pocztą.

GRZEGORZ CHMIELEWSKI — dyrektor
Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
w Zielonej Górze



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA